



Remington i Juliet
Rebecca York

WALENTYNKI '98

Tytuł oryginału: REMINGTON AND JULIET



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzaski w radiu przeszkodziły Juliet Hartfield w słuchaniu ulubionego przeboju Roda Stewarta. Słońce skryło się za ścianą burych chmur. Przejeżdżała właśnie słupki graniczne posiadłości Remingtona, gdy nagły podmuch wiatru strząsnął gałąź na maskę jej samochodu.

- Zły znak - mruknęła pod nosem.

Na myśl o przesądach uśmiechnęła się do siebie. Od kiedy to stanowcza i rozsądna Juliet Hartfield zaczęła wierzyć w złe znaki? Odpowiedź była prosta - odkąd nierozwaznie zgodziła się wkroczyć na teren wroga, Granta Remingtona.

Drogę dojazdową do willi wysadzały rzędy rosnących dębów, na których w lutowym wietrze drżały zeschnięte listki. Zatoczyła łuk i natknęła się na kolejne ostrzeżenie: „WSTĘP WZBRONIONY! OBECNOŚĆ NA TERENIE POSIADŁOŚCI GROZI ŚMIERCIA!”.

Juliet parsknęła z odrazą. Jeśli wierzyć opowieściom kuzyna, ten napis rzeczywiście pasował do Granta Remingtona. Po tym, co usłyszała, nie mogła uwierzyć, że ktoś tak podły, jak ten typ, którego prywatność właśnie miała zamiar naruszyć, nie trafił jeszcze za kratki. Larry wspominał, że firma Granta budowała osiedla mieszkaniowe ze złej jakości materiałów i zatrudniała pracow-

ników nielegalnie, co doprowadziło do bankructwa konkurencyjne przedsiębiorstwa budowlane. Jakby tego było mało, Grant Remington zniszczył własne małżeństwo i wypędził z domu żonę. Ale najbardziej odrażające według Larry'ego było to, że Remington wynajął mordercę, by pozbyć się własnej matki, a potem odziedziczyć po niej rodzinną fortunę.

Przypomniawszy sobie słowa Larry'ego, Juliet wstrząsnęła się teraz z obrzydzeniem. Zdawała sobie sprawę, że kuzyn, który rodzinną nienawiść do Remingtonów odziedziczył po przodkach, lubił ubarwiać swe opowieści i bywał stronniczy. Mimo wszystko jednak trudno jej było wzbudzić w sobie choć odrobinę życzliwości do Granta.

Zatargi między Lancasterami a Remingtonami miały długą historię. Zaczęły się prawie sto lat temu, kiedy Zebulon Remington porzucił Anabel Lancaster, i trwały do dzisiaj.

Przez długie lata Remingtonowie byli górą. Teraz zaś nadszedł czas odwetu. Grant Remington zmuszony był sprzedać pamiątki rodzinne, z których wiele odkupił kiedyś za bezcen od Lancasterów. Do skatalogowania swoich kosztowności oraz wyceny ich wartości wynajął Juliet Hartfield, nie wiedząc oczywiście, że i ona pochodzi z rodziny Lancasterów. Okazja więc była nie lada, lecz Juliet nie pozwoliłaby sobie nigdy na złamanie etyki zawodowej. Larry namawiał ją wprawdzie, żeby zaniżyła wartość pamiątek, jednak ona stanowczo odmówiła. Obiecała, że będzie wyceniać uczciwie, choć bardzo surowo.

Przede wszystkim jednak postanowiła zdobyć dowody na nielegalną działalność Granta Remingtona.

Szpaler dębów ustąpił miejsca wiecznie zielonym świerkom. Juliet zwolniła. Może powinna zawrócić? W roli szpiega czuła się niezręcznie. W końcu jednak zwyciężył honor. Dała słowo Larry'emu, że będzie godnie reprezentować krew Lancasterów.

Willa stała na szczycie malowniczego wzgórza. Choć dach jej był mocno sfatygowany, a tynki odrapane i niekompletne, można było się domyślić, że w przeszłości musiała być piękna.

Na podwórzu dojrzała wypchaną rupieciami ciężarówkę. Cóż to, czyżby Remington postanowił zrobić porządki? On sam, ubrany w zakurzone dżinsy i koszulę w kratę, piłował w skupieniu jakieś deski. Wysiadła z samochodu, jednak nie podniósł wzroku i nie spojrzał w jej kierunku. Czekwała w milczeniu, aż przepiłuje jedną z desek do końca, przypatrując mu się bliżej przez ten czas.

Miał gęste ciemne włosy, które podwijały się nad karkiem, szerokie, muskularne plecy i długie nogi.

Najwyraźniej nie przerażał go mróz, bo nie nosił rękawiczek. Kiedy się wyprostował, Juliet spostrzegła, że jest wysoki.

Podeszła bliżej i odchrząknęła.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Szukam pana Remingtona. Byłam z nim umówiona.

- To ja. - Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią swymi czarnymi jak smoła oczami.

Juliet wstrzymała oddech. W rzeczywistości wygląda o wiele lepiej niż na zdjęciach, pomyślała. Oprócz owego

zniewalającego spojrzenia jego atutem były wysokie kości policzkowe, wyraźnie zarysowana szczęka i orli nos.

Sądziła, że jest dobrze przygotowana na spotkanie z tym człowiekiem, okazało się jednak, że już samo jego spojrzenie wyprowadziło ją z równowagi. Spojrzenie to zresztą zmieniło po chwili swój charakter. O ile z początku mierzył ją wzrokiem badacza, tak teraz przyglądał się jej niczym nie pozbawiony tupetu podrywacz. Juliet znała takie spojrzenia. Należały z reguły do mężczyzn, którzy po przeżytym zawodzie miłosnym stawali się hardzi i aroganccy. Czy jednak Granta Remingtona można było w ogóle zranić? Przecież on nie miał serca.

Bezczelny typ. Powoli przesuwiał wzrokiem po jej nogach, biodrach, talii, piersiach - i wcale nie wydawał się skrępowany. Nie oczekiwała zresztą, że będzie delikatny. On?

- Panna Hartfield? - zapytał wyzywająco.

- Pan Remington? Nie wiedziałam, że jest pan stolarzem.

Wytań w spodnie zakurzone dłonie.

- Nie jestem. Chwilowo się tym zajmuję.

Na twarzy Juliet pojawił się lekki uśmiech. Szybko jednak zgaśniła sobie za to. Musi być przecież wyniosła i chłodna.

- Nie sądziłam, że sam pan wykonuje naprawy. Nie ma pan pracowników czy kogoś takiego?

- Ograniczyłem zakres działalności - odparł dyplomatycznie.

- Ach tak. - Weszła na schody. - Chciałabym jak najszybciej rozpocząć pracę. Mam wieczorem spotkanie

i nie chciałabym się spóźnić - skłamała. W rzeczywistości chciała po powrocie do domu zasiąść przed telewizorem i obejrzeć jakiś film.

- Proszę wybaczyć, że nie przygotowałem się odpowiednio na pani przyjęcie. Chciałem zdążyć z tą deską

- dodał, otwierając drzwi do holu, który był tak przestronny, że mógłby z powodzeniem służyć jako salon.

Na marmurowej podłodze widniały ślady po zabłoconych buciorach, pewnie należących do Granta. - Wrócę do pani za dziesięć minut - uśmiechnął się. - Tymczasem proszę się rozejrzeć. Śmiało. Zamierzam sprzedać większość mebli i bibelotów, zanim pozbędę się tego domu.

- Sprzedaje pan również dom?

- Mhm, ale na razie niech pani zatrzyma tę informację dla siebie. Nie chcę, żeby zaczęły mnie nachodzić agencje nieruchomości.

Jeszcze raz uśmiechnął się, po czym odwrócił na pięcie i skierował na schodom. Juliet zauważyła, że utyka na prawą nogę. Już miał wyjść, gdy nagle zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- Proszę tylko nie zaglądać do tylnych pomieszczeń

- poprosił.

- Dlaczego?

Przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą.

- Zrywam tam podłogę i nie chciałbym wylądować w sądzie, gdyby się pani zraniła.

- Nie zamierzam pana pozwać do sądu.

- Dzięki Bogu - odparł, a te dwa słowa wybrzmiały w powietrzu niczym dźwięk dzwonu.

Grant zniknął za rogiem, zwolnił kroku i zaczął miarowo oddychać, by uspokoić wzburzone nerwy. Niech no tylko dopadnie tego Camerona! To jego sprawka! Przed tygodniem Grant zadzwonił do niego z prośbą o pomoc przy wycenie pamiątek z rodzinnej kolekcji, której chciał się pozbyć, by rozpocząć nowe życie. Cam polecił mu pewną „solidną firmę” o nazwie Antique Authentics. I rzeczywiście - w telefonicznej rozmowie niejaka Juliet Hartfield zrobiła na nim dobre wrażenie. Spodziewał się jednak, że będzie miał raczej do czynienia ze starszą panią, a nie z olśniewającą blondynką o dużych niebieskich oczach i niezwykle ponętnych kształtach.

Zamknął oczy, ale nie zdołał się uwolnić od zapamiętanego obrazu Juliet.

Tak, tak. Cam, jak widać, dobrze wiedział, jakie kobiety podobają się jego kumplowi. Łajdak, na pewno celowo umówił go z tą dziewczyną; miała być w jego zamierzeniu idealną kandydatką, która wyrwie zgorzkniałego samotnika, za jakiego uchodził od pewnego czasu Grant, z ponurego życia. Problem w tym, że Grant nie wierzył już w istnienie idealnych kandydatek. Wystarczyło mu to, co przeżył z Cynthią.

Żeby położyć kres temu nieudanemu małżeństwu, gotów był nawet rozstać się ze znaczną częścią rodzinnego majątku Remingtonów. I zrobił to, czym zdumiał swych adwokatów. Od tego czasu przysiągł sobie, że raczej piekło go pochłonie, niż da się kiedykolwiek jeszcze oczarować przez kobietę.

Westchnął, ściągnął brudne dzinsy i kopnął je w kąt

łazienki. Natychmiast odezwał się piekący ból w chorej nodze.

- Cholera! - warknął. Zawsze za późno przypominał sobie, że nie wolno mu jej nadwerężyć. - Przynajmniej ręce mam sprawne - pocieszył się zaraz, po czym zdjął koszulę i rzucił ją tam, gdzie spodnie.

Od kryzysowego zeszłego roku Grant starał się doceniać to, co ma, porzestawać na drobnych radościach, cieszyć się z małych zwycięstw. Gdy się lepiej przyjrzeć, człowiek zawsze znajdzie jakiś powód do zadowolenia. Bo Grant miał już dość zmartwień i rozczarowań. Próbował pozbierać strzępy swojego życia i złożyć je na nowo. Spojrzeć przed siebie i znaleźć sobie jakiś cel i jakieś miejsce. Dlatego właśnie tak bardzo rozżłościł go ów żalosny fortel starego przyjaciela. Piękna Juliet Hartfield mogła pokrzyżować jego plany. Najlepiej będzie zapłacić jej za usługę i jeszcze tego popołudnia wykreślić ją z pamięci. A zanim to nastąpi - ostudzić ciało pod zimnym prysznicem.

Juliet stanęła na chłodnej marmurowej podłodze i powiodła wzrokiem za miejscem, w którym zniknął gospodarz tej podupadłej rezydencji.

Nie tak go sobie wyobrażała. Miał być oschły, zimny, odrażający, a tymczasem budził zgoła odmienne uczucia; nie wrogość i odrazę, już raczej trudny do wytłumaczenia lęk, odrobinę współczucia i zainteresowanie. Ścisnął ją skurcz w klatce piersiowej, kiedy uświadomiła sobie, z jakim zamiarem tu przyjechała. Może lepiej by było, korzystając z jego nieobecności, zostawić informację, że

się rozmyśliła i że rezygnuje ze zlecenia? Nie, to byłoby nieprofesjonalne, niezgodne z etyką zawodową. Poza tym złamałaby daną Larry'emu obietnicę. Trudno, musiała trzymać się pierwotnego scenariusza.

Westchnęła. Zdjęła płaszcz, przerzuciła go przez poręcz na schodach i położyła na podłodze teczkę. Postanowiła skorzystać z tego, że jest sama, i pomyszkować trochę po domu. Namacała dłonią mosiężny klucz w kieszeni, który dostała od Larry'ego. Pięcicentymetrowy klucz, zakończony główką w kształcie serca, Larry dostał od rodziców, którzy z kolei odziedziczyli go po babci Lancaster. Podobno otwierał on skrzynię czy szkatułkę z rodzowymi skarbami Lancasterów. Larry twierdził, że są to kosztowności i cenne dokumenty, które swego czasu bezprawnie odebrali im Remingtonowie. Juliet nie wierzyła wprawdzie, że skrzynia nadal mogłaby pozostawać zamknięta, lecz obiecała to sprawdzić.

Najpierw jednak zajrzała do salonu, w którym sufit i kominek zdobiły wspaniałe płaskorzeźby. Nie pasowały do nich surowe i sprawiające wrażenie niewygodnych sofy oraz krzesła. Kiedy wyobraziła sobie Granta Remingtona, moszczącego się niezdarnie na jednym z krzesel, uśmiechnęła się do siebie z przekąsem. Natychmiast jednak odrzuciła od siebie tę myśl. Nie powinna w ogóle o nim myśleć. Nie to było przecież jej misją. Miała wykonać fachowo jego zlecenie, a przy okazji wziąć rodzinny odwet za wszystkie zaszłości między Remingtonami a Lancasterami.

Spacerując po bocznym korytarzu, natknęła się na uchylone drzwi, otworzyła je więc i po chwili znalazła

się w znacznie bardziej przytulnym niż salon pomieszczeniu. Ściany były tu wyłożone ciemną boazerią, na podłodze leżał wzorzysty turecki dywan, a na nim stała wysłużona, obita skórą kanapa. To pewnie tu Grant odpoczywa. Przeciąga się, sącząc drinki i oglądając mecz w telewizji, prostuje swe długie nogi... Ciekawe, jakie drinki lubi Grant Remington? A może wcale nie ogląda telewizji, lecz czyta książki?

No tak, znów popełnia ten sam błąd. Skupia uwagę na mężczyźnie, a nie należących do niego kosztownościach. Naprawdę musi cenzurować własne myśli. Czytelnicze i alkoholowe upodobania Granta Remingtona, to z pewnością nie jest najważniejszy temat.

A może by tak zajrzeć do biurka i sprawdzić, jakie trzyma tam dokumenty? - pomyślała, lecz od razu odrzuciła ten pomysł. Zaszłości rodzinne to jedna sprawa, a zaglądnienie do cudzej korespondencji druga. Przekroczyłaby w ten sposób swoje kompetencje.

Pośpiesznie opuściła pokój i przeszła do jadalni, która - podobnie jak wcześniej salon - sprawiła na niej wrażenie oficjalnej i mało przytulnej. Dominował tu olbrzymi stół, tak wielki, że mogliby za nim zasiąść wszyscy muzycy z Baltimore Symphony Orchestra. Przy ścianie stał potężny kredens, załadowany serwisem obiadowym, figurkami i kilkoma porcelanowymi zestawami do kawy. Zauważyła, że jeden z nich ozdobiony jest klasycznym wzorem Blue Willow. Od razu go rozpoznała. Przypomniała sobie, że Larry wymienił ten właśnie serwis na długiej liście przedmiotów, które w trudnych czasach Lancasterowie sprzedali Remingtonom. Na półeczce

obok dojrzała niewielką skrzyneczkę z drzewa orzechowego z mosiężnymi obręczami. Może to właśnie owa słynna szkatułka, pomyślała i serce zabiło jej szybciej. Otwór w skrzynce wydawał się wprawdzie zbyt mały, żeby pasował do niego mosiężny klucz, który wciąż tkwił w jej kieszeni, ale co zaszkodzi spróbować.

Wyjęła klucz, pochyliła się nad skrzyneczką i w tym samym momencie usłyszała dochodzący z korytarza hałas. Zamarta na moment, po czym odwróciła się w stronę drzwi, chowając klucz za sobą. Do jadalni wkroczył Grant Remington.

Przebrał się i miał teraz na sobie niebieską koszulę oraz szare wełniane spodnie. Po wilgotnych włosach poznała, że wziął prysznic. O ile w zakurzonych dzinsach wyglądał dobrze, to wykąpany i schludnie ubrany robił wręcz piorunujące wrażenie.

Starając się, by nie dojrzał zachwyty w jej oczach, odwróciła wzrok i przeniosła go na czajniczek z serwisu Blue Willow.

- Czy zamierza pan sprzedać przedmioty z tego kredensu?

- Owszem - cierpko odparł Grant.

Juliet miała nadzieję, że nie zauważył klucza, który schowała właśnie ukradkiem do kieszeni.

Grant tymczasem miał nadzieję, że zdoła wytrwać w swoich podjętych przed kilkoma minutami postanowieniach. Żadnej poufności wobec Juliet Hartfield!

Liczył jednak na to, że będzie mu z tym łatwiej. Spodziewał się, że kiedy zejdzie na dół i ją zobaczy, dojdzie do wniosku, iż przesadził z oceną jej urody. Niestety.

Wciąż była tak samo czarująca. Na jej twarzy pojawiły się rumieńce, jakby zaskoczył ją nagłym wtargnięciem do jadalni, a w cudownych oczach błysnęła niepokój. Miał ochotę podejść do niej, uspokoić ją, zatopić dłoń w jej jasnych, sięgających do ramion lokach. Pohamował jednak swoje zapędy i czym prędzej ukrył ręce w kieszeniach spodni.

- Przyjaciel, który polecił mi Antique Authentics, powiedział, że działacie na rynku już od ponad ćwierć wieku. Czy zaczęła pani pracować jako niemowlę?

- Prawie pan trafił - roześmiała się. - Moja mama zaczęła karierę w sklepie z antykami w Ellicott City sześć miesięcy po moim urodzeniu. Codziennie zabierała mnie ze sobą w foteliku dla niemowląt. A kiedy skończyłam osiem lat, założyła własny sklep.

- Nadal z panią pracuje?

- Dwa lata temu umarła.

- Ach tak. - Kiwnął głową. - Przykro mi.

- Nadal sprzedaję antyki, jak ona, ale ostatnio częściej zajmuję się ich wyceną.

- Dlaczego?

- Znam się na tym.

- W takim razie proszę powiedzieć, jaką wartość ma ten przedmiot. - Wziął do ręki pierwszy z brzegu czajniczek.

Oczy Juliet stały się jeszcze większe i jeszcze bardziej błękitne. Wpatrzony w nie, niemal nie słyszał jej odpowiedzi.

- Proszę uważać, żeby pan tego nie stłukł. - Odebrała porcelanę z jego ręki. - Wygląda mi to na manufakturę

Karola de Bourbon, co oznaczałoby, że ten czajniczek powstał między 1743 a 1759 rokiem.

- Skąd pani to wie?

Juliet odwróciła naczynie i wskazała napis na denku.

- Widzi pan? Miałam rację. To od razu widać.

Grant obserwował, jak Juliet odkłada naczynie na półkę, i myślał z uznaniem, że to samo, co przed chwilą usłyszał na temat historii owego czajniczka, powtarzała wielokroć gościom jego matka. Boże, dlaczego musiała tak wczesnie umrzeć? - pomyślał nagle z żalem. Zaraz jednak odwrócił się z uśmiechem do panny Hartfield i zaczął oprowadzać ją po piętrze, wypytując o szczegóły dotyczące rozmaitych antyków, począwszy od siedemnastowiecznych widelców, a skończywszy na hugenockich kandelabrach.

Juliet wiedziała o nich wszystko. Mimo to odpowiadała na każde pytanie głosem drżącym i jakby niespokojnym. Wreszcie po którymś z kolejnych pytań odłożyła dziewiętnastowieczną statuetkę, zmrużyła oczy, gdy ta szcęknięta zbyt mocno o półkę, i powiedziała:

- Jeśli uważa pan, że nie jestem wystarczająco kompetentna, żeby wycenić pańskie rzeczy, proszę mi to od razu powiedzieć, panie Remington. Nie rozumiem, dlaczego chce mnie pan onieśmielić.

Nie odpowiedział od razu i Juliet poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Gdyby zrezygnował teraz z jej usług, cała misja zakończyłaby się fiaskiem. Spojrzała na niego raz jeszcze. Na twarzy Granta pojawił się nieokreślony grymas, a potem padły słowa, po których odechnęła z ulgą.

- Proszę się nie obawiać. Zatrudnię panią do wyceny tych wszystkich gratów.

- To dlaczego mi pan nie ufa?

- Sądzę - wzruszył ramionami - że mam prawo najpierw sprawdzić pani kwalifikacje.

- W takim razie proszę uprzejmie, niech pan sprawdza. Ciekawe, kto pierwszy... - Zdanie uwięzło jej w gardle, gdyż nagle za oknem usłyszała potężny huk. Natychmiast spojrzała w tamtą stronę i jęknęła z przerażeniem: - O, nie...

Z granatowego nieba spadały z impetem olbrzymie gradowe kule, które podskakiwały, odbijając się od ziemi.

- Miało nie padać - mruknął pod nosem Grant. -

Chyba powinienem przykryć rzeczy na ganku.

Juliet bąknęła coś pod nosem, myśląc z niepokojem o wysłużonych oponach, które w wolnej chwili zamierzała wymienić na zimowe, i czekającym ją powrocie do domu.

- Muszę wracać, póki nie jest za późno - powiedziała. - Zanim dojadę do miasta, może się zacząć prawdziwa zamieć. Skontaktuję się z panem. Wspólnie ustalimy harmonogram pracy.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegła na korytarz, chwyciła płaszcz, teczkę i nacisnęła dłońią na klamkę.

- Proszę zaczekać!

- Jutro do pana zadzwonię - rzuciła przez ramię i otworzyła drzwi. Silny podmuch wiatru niemal wyrwał teczkę z jej ręki.

Mimo iż była dopiero trzecia po południu, niebo było teraz już prawie czarne. Temperatura natomiast musiała

spaść od jej przyjazdu o dobre dziesięć stopni. Juliet podniosła kołnierz, by ostonić się choć trochę przed lodowatymi podmuchami. Zmrużyła oczy, rozejrzała się wokół. Krajobraz zmienił się nie do poznania. Drzewa i krzewy pokrył lodowy płaszcz, a droga dojazdowa świeciła się, jakby była wypolerowana.

Tymczasem Remington również wypadł na dwór, by nakryć materiały budowlane plastikowymi płachtami. Gdy wyszedł na ganek, Juliet odskoczyła na bok, by zrobić mu przejście, i w tej samej chwili pośliznęła się i straciła równowagę. Na szczęście zdążyła jeszcze chwycić oblodzoną poręcz, która uchroniła ją przed upadkiem.

- Proszę uważać!

- Wszystko w porządku - odkrzyknęła pod wiatr.

Ostrożnie, drobnymi kroczkami zaczęła brnąć przez śnieg w kierunku samochodu. Wtem znów się pośliznęła i po trwających kilka sekund akrobacjach wylądowała z impetem na ziemi.

Od razu usłyszała za sobą kroki Granta. Tuż przy niej i on się zachwiał na lodzie, zdołał jednak utrzymać równowagę.

- Nic się pani nie stało?

- Chyba nic.

- Coś panią boli?

- Tylko moja urażona godność.

- Jeśli jest pani w stanie żartować, to nie jest tak źle.

- Wręczył jej teczkę, pomógł wstać i zaczął holować Juliet z powrotem w stronę domu. Na lodzie trzymał się zaskakująco pewnie.

- Nie - próbowała się wyrwać - muszę wracać do domu.

- Nie może pani jechać w taką gołodź.

Z lekkim westchnieniem przyznała mu rację i pozwoliła się wprowadzić na schody, a potem do owego przytulnego pokoiku, który widziała już wcześniej.

- Proszę usiąść. - Grant wskazał jej miejsce na sofie. Bez wahania przyjęła tę propozycję. Stłuczone kolana bolały ją coraz bardziej.

- Muszę obejrzeć pani kolana. I dłonie.

- Po co?

- Chcę sprawdzić, co się stało.

Juliet poczuła nagle dziwną błogość. Tam na dworze szalała zamieć, tu, w ciepłym pomieszczeniu, ktoś był gotów pochylić się z troską nad jej ranami.

Bez sprzeciwu odwróciła pokaleczone ostrym lodem dłonie. Zaraz potem odchyliła spódnicę, by Grant mógł obejrzeć pościerane kolana. Niestety, i dłonie, i kolana nie wyglądały najlepiej.

- Hm... Przyniosę wodę, mydło i jakiś środek odkażający - rzucił od niechcienia i szybko wyszedł z pokoju,

Juliet przyjrzała się ranom dokładniej. Podarty naskórek, krew, surowica... Nic dziwnego, że piekący ból nasilał się z każdą chwilą. Postanowiła zdjąć rajstopy, lecz gdy zaczęła to robić, usłyszała dobiegające z korytarza kroki Granta. Po chwili był już na progu z miską wody i metalowym pudełkiem w dłoniach. Dostrzegł nagie uda Juliet i znieruchomiał.

Szybko opuściła spódnicę, cała poczerwieniła ze wstydu.

- Pani pozwoli, że pomogę - odezwał się wreszcie i przyklęknął obok niej.

Natychmiast przycisnęła dłonie do ud, ale szybko zorientowała się, że źle odczytała jego intencje, i poczerwieniała jeszcze bardziej.

Grant chciał tylko pomóc ściągnąć jej buty.

Choć jednak był to zwykły gest, który w sklepie obuwniczym nie wzbudziłby w niej zapewne żadnych emocji, zdrząła, gdy poczuła na stopie dotyk jego palców.

Musiał wyczuć to drzenie, gdyż natychmiast cofnął dłoń i taktownie się wycofał, by zapalić lampę na stole.

Juliet miała ochotę uciec stąd jak najdalej. Nie przeżyła jej jednak Grant Remington jako wróg rodu Lancasterów, lecz Grant - mężczyzna. Silny, zdecydowany mężczyzna, który na pewno wie, jak wykorzystać sytuację taką jak ta. Czowała suchość w gardle, wiedziała jednak, że na razie nie może uciec. Położyła się więc na kanapie i postanowiła odzywać się jak najrzadziej, by nie prowokować swego oprawcy, a właściwie - jak na razie - opiekuna.

- Jak się pani czuje?

- Dobrze. Och... - syknęła z bólu, czując na kolanie wilgotny kompres.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

- Jeszcze chwila. Teraz nie będzie bolało - dodał, spostrzegłszy, że napięta w oczekiwaniu wszystkie mięśnie.

Nie skłamał. Tym razem zamiast bólu poczuła jedynie błogi chłód.

- Już po wszystkim. - Ujął jej dłoń. - Proszę się teraz odprężyć.

Juliet jednak nie była w stanie się odprężyć. Grant bowiem, przemywając ciepłą wodą jej dłonie, dotykał jej tak ostrożnie i tak delikatnie, że miała wrażenie, iż za chwilę się rozptynie. W pewnym momencie ich spojrzenia skrzyżowały się nagle.

- Dziękuję - bąknęła pod nosem.

Nie odpowiedział, skinął tylko głową. Ciekawe, czy to dlatego, że bał się, iż w jego głosie znać będzie napięcie? Bo przecież czuła, że i on nie jest tylko pielęgniarzem opatrującym raną kobietę, że w tej dziwnej relacji między nimi chodzi o coś więcej.

Jakby chciał uciec przed podobnymi domysłami, Grant pośpiesznie wyszedł z pokoju. Juliet spojrzała przez okno. Wielkimi krokami zbliżała się noc i na dworze było już całkiem ciemno. Jedynie w świetle lamp przed domem widać było, że z nieba sypie śnieg. Wiatr raz po raz uderzał w podnieszczony dom, który dzielnie odpierał te wściekłe ataki.

A zatem została odcięta od świata; zamknięta w tej zniszczonej rezydencji niczym księżniczka w wieży, z Grantem Remingtonem jako strażnikami. Czy ma tu zostać i czekać, aż wybawi ją jakiś dobry książę?

O, nie! Nigdy w życiu!

Zerwała się z kanapy, wsunęła stopy w buty, chwyciła płaszcz i zaciskając zęby z bólu, stanęła na wyprostowanych nogach. Była już w połowie drogi do drzwi, kie-

dy nagle zamigotało światło i zapadła kompletna ciemność. Po chwili światło zabłyśło znowu, jeszcze raz zamigotało i tym razem zgasło na dobre.

Zrobiło się tak ciemno, że nie widać było nawet czubka własnego nosa. Juliet wzdrygnęła się ze strachu. Jako dziecko bardzo bała się ciemności. Mimo iż strach ten zwalczyła wiele lat temu, teraz znowu ogarnął ją niepokój. Nie była w stanie logicznie myśleć. Mogła tylko zaufać instynktowi, który wziął górę nad rozumem. Zaczęła iść na oślep przed siebie. Po drodze potrąciła stolik, który z hukiem przewrócił się na podłogę, jednak nie zwróciła na to uwagi. Jedyne, czego teraz pragnęła, to wyjść z tej ciemności, znaleźć się na zewnątrz, poczuć otwartą przestrzeń, chłód powietrza, który oziębiłby jej rozpaloną skórę.

- Juliet? Czy coś się pani stało?

Mruknęła coś pod nosem i opierając się o ścianę, dalej brnęła przez korytarz. Ogarnięta paniką, zupełnie straciła poczucie kierunku. Nie wiedziała, dokąd idzie. Wierzyła, że w końcu trafi do drzwi i odzyska wolność.

- Proszę się zatrzymać! To zła droga!

Owładnięta jednym pragnieniem, przyspieszyła tylko kroku. Natrafiła na róg. Minęła go. Owionął ją podmuch chłodniejszego powietrza i zapach piwnicznej wilgoci. Zamarła w bezruchu i chciała się cofnąć, ale było już za późno. Uderzyła biodrem o drewnianą barierkę, straciła równowagę, krzyknęła, czując, że za chwilę spadnie w bezdenną, czarną przepaść.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ktoś złapał ją wpół, zacisnął palce na talii. Juliet poczuła, że wiotczeje całe jej ciało. Zamknęła oczy i nie protestując, dała się odciągnąć. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, usłyszała tuż przy uchu ciężkie, pełne ulgi westchnienie. Później zaś w głębokiej ciemności nie było słychać już nic prócz dwóch oddechów i bicia dwojga serc.

To on. Grant Remington.

To on ją uratował.

Kiedy Juliet uświadomiła sobie, co się stało i co się mogło stać, zaczęła trząść się ze strachu. Grant przyciągnął ją bliżej siebie. Zakotwiczona w jego ramionach, poczuła się jak w bezpiecznej przystani. Zamknęła oczy, położyła głowę na jego ramieniu. Wiedziała, że nie powinna pozwolić sobie i jemu na taką bliskość, zamiast jednak go odepchnąć, mocniej wtuliła się w jego twardą pierś. Nie przestała się bać, a mimo to czuła się w niewytłumaczalny sposób bezpieczna.

Czuła wyraźnie zapach mydła i wody po goleniu. Nie widziała ani twarzy Granta, ani jego miny. Rozumiała za to mowę jego ciała, a to potwierdzało tylko jej wcześniejsze domysły - Grant Remington pragnął jej dotyku, podobnie jak ona pragnęła jego.

Poczuła, jak gładzi ją po napiętej szyi.

- Już dobrze. Jesteś bezpieczna - szepnął.

- Wiem - odparła słabym głosem i musnęła nosem jego ramię. Wcześniej nie pozwoliłaby sobie na ten poufały gest, teraz miała dziwne wrażenie, że robi dobrze.

Długo nie odzywało się żadne z nich. W końcu Grant oderwał dłoń od jej szyi, a Juliet podniosła wzrok, by w ciemnościach dostrzec choćby profil jego twarzy.

- Mówiłem ci, żebyś tam nie szła. Co właściwie chciałaś zrobić?

- Bałam się... ciemności. Kiedy zgasło światło, przełękałam się i chciałam uciec. Zgubiłam drogę. Dlaczego pośrodku podłogi jest dziura?

- W jednej z łazienek na górze przeciekała rura. W końcu drewno zbutwiało i podłoga się zawaliła. - Westchnął po raz kolejny i chyba pokręcił głową w ciemnościach. - Miałaś szczęście. No, chodź - wzięła ją za rękę - wracamy do pokoju.

Pozwoliła poprowadzić się przez ogarnięty ciemnością korytarz. Mimo iż nic nie było widać, Grant kroczył pewnie i szybko.

- Znasz wszystkie ścieżki w tym domu.

- Chyba tak - odparł. - Z Billym i Patem bawiliśmy się tutaj w chowanego.

- Billy i Pat? Miałaś braci?

Grant roześmiał się gorzko.

- Billy był kierowcą, a Pat ogrodnikiem.

- Rodzice pozwalali ci bawić się ze służbą?

- No cóż, prawie nigdy nie było ich w domu. Mama, nawet jeśli była, zawsze miała mnóstwo zajęć. Nie zwraca-

cała uwagi na to, co robię - odparł niby beznamiętnie, lecz Juliet wyraźnie słyszała smutek w jego głosie.

Grant wydłużył krok, jakby chciał czym prędzej dotrzeć na miejsce i zakończyć rozmowę na tematy rodzinne. Pewnie przekroczył próg pokoju, by po chwili z całym siłą uderzyć tydką w twardą przeszkodę.

- Oj! To moja wina - zasmuciła się Juliet. - W ciemnościach przewróciłam stół.

Grant namacał mebel, postawił go nogami na podłodze, po czym ujął Juliet za łokieć i poprowadził po omacku na sofę.

- Zostawię cię na chwilę samą, dobrze? Muszę przynieść jakieś światło.

Kiwnęła głową i wtuliła się w poduszki. Objęta kolana ramionami, by osłonić się przed chłodem i ciemnością. Ten dom, od początku niezbyt ciepły i przytulny, teraz wydał się jej wręcz lodowaty.

Tymczasem Grant nerwowo przeszukiwał gabinet. Szukał lampy naftowej, której kiedyś często używał Pat. Prawdę mówiąc, nie spieszyło mu się jednak do pokoju, w którym zostawił Juliet Hartfield. Przeraziła go bowiem myśl o tym, jak ogromne wrażenie zrobiła na nim ta kobieta. Był pewien, że nigdy nie zapomni, jak trzymał ją w ramionach. Cholera, nie pamiętał nawet, o czym później rozmawiali. Zdaje się, że spowiadał się jej ze swojego dzieciństwa - temat, o którym nigdy nikomu nie wspominał.

Znalazł lampę, odłożył ją na stół i otworzył szufladkę w poszukiwaniu zapalek. Gdyby doszło do czegoś między nim a Juliet, jego życie - i tak już zawite - je-

szcze bardziej by się skomplikowało, wiedział o tym doskonale. I dlatego właśnie nie mógł pozwolić sobie na żadne uczucia i dopuścić do podobnych sytuacji. Najprościej byłoby pożegnać Juliet Hartfield i kazać jej wracać do siebie; wypchnąć ją nawet siłą, byle tylko pozbyć się jej ze swego życia. Tego oczywiście nie mógł zrobić. Musiał udzielić jej schronienia i zapewnić opiekę; ogrzać, przynieść coś do jedzenia, urządzić postanie przy kominku.

Musiał? Najgorsze było to, że on chciał zrobić dla niej to wszystko. To i jeszcze więcej...

Gdy powróciwszy do pokoju, zobaczył, jak Juliet wtula się w poduszki i przykrywa płaszczem swe drżące ciało, żal ścisnął mu serce.

- A teraz cię ogrzejemy - powiedział łagodnie.
- Mogę jakoś pomóc?
- Nie. Po prostu leż.

Zarzucił na siebie skórzaną kurtkę, odstawił krzesło w róg pokoju i zaczął rozpalać ogień w kominku. Kiedy się odwrócił, zauważył, że Juliet wyciąga dłonie w kierunku płomienia. Na pozór wyglądała na odprężoną, lecz dostrzegł w jej źrenicach błysk niepokoju.

- No więc dlaczego wyszłaś na ten korytarz?

Zawahała się.

- Powiedziałam ci. Bałam się. Bałam się ciemności i... bałam się ciebie - wyznała nagle, sama zdumiona własną szczerością. - Chciałam wyjść i oddalić się stąd jak najdalej.

- Tak cię przeraziła myśl o nocy spędzonej ze mną pod jednym dachem?

- Czułam się skrępowana, odkąd przekroczyłam próg tego domu.

- Wybacz mi. To trochę moja wina. Ostatnio zrobiłem się drażliwy i gburowaty. - Cóż, szczerść za szczerść, pomyślał. Mógł właściwie powiedzieć jeszcze więcej: że wcale nie miał zamiaru jej urazić, że wolałby, żeby miała o nim dobre zdanie. Tego jednak już nie dodał.

- To wcale nie twoja wina. Prawdę mówiąc, moje zachowanie wynikało po części z wrażenia, jakie na mnie zrobiłeś.

Cholera, Juliet przygryzła wargę, co jest? Czy ona ma przed sobą Granta Remingtona, czy spowiednika w konfesjonale? Tak czy inaczej, na skutek nie wiedzieć czego, mówiła mu otwarcie o tym, do czego jeszcze przed godziną była się przyznać przed samą sobą.

- Co takiego?

- Czułam się jak ćma, która lgnie do płonącej świecy. Zaintrygowałeś mnie, ale... Ale nie martw się. Na tym koniec. Wiem dobrze, jaki jest cel mojego tu pobytu. Mam skatalogować i wycenić twoje antyki, ani odrobinę więcej. Pamiętam o tym, nie musisz się obawiać. Przepraszam za wszystko.

Grant wpatrywał się nieruchomo w Juliet.

- Jeśli obydwie strony czują podobnie, to... To nie musisz przeproszać, Juliet - powiedział wreszcie.

A więc przyznał się. Przyznał się do własnej słabości, łamiąc daną sobie wcześniej obietnicę.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że dał się wciągnąć w tak osobistą rozmowę. Może niepotrzebnie. Może Juliet nie mówi prawdy, lecz gra. Ale jeśli tak, to jakie pobud-

ki nią kierują? Niestety, po smutnych doświadczeniach z żoną nie mógł nie pomyśleć o jakichś ukrytych intencjach.

- Chyba nie powinnam była mówić tego wszystkiego
- odezwała się nieśmiało Juliet. - Ale zawsze źle się czułam z kłamstwem w sercu.

- Tylko pozazdrościć - odparł i nie mógł nie pomyśleć o Cynthii, która składała podobne deklaracje. Kobieta, z którą spędził parę lat swego marnego życia, niczego tak dobrze go nie nauczyła, jak tego, że nieszczęście jest najgroźniejszą bronią kobiety.

- Liczę na dyskrecję. Że zachowasz się jak dżentelmen.

- Zawsze nim jestem - powiedział Grant, tym razem wspominając burzliwy przebieg sprawy rozwodowej, w trakcie której Cynthia opowiadała o nim niestworzone rzeczy, a on milczał.

To, że milczał, było zresztą dla niego typowe - nigdy bowiem nie obchodziło go, co inni o nim myślą. Teraz jednak nagle zaczęło go to obchodzić. Ciekaw był na przykład, czy Juliet czytała oszczercze publikacje na jego temat w „The Baltimore Sun”. Pewnie nie. Gdyby wiedziała, jaką się cieszył reputacją, na pewno nie zgodziłaby się przyjąć pracy przy wycenie jego majątku. Poza tym nie składałaby mu tak szczerych wyznań.

- Będzie nam cieplej, jeśli zjemy jakiś gorący posiłek
- odezwał się, by zmienić temat rozmowy na bardziej konkretny, a przez to bardziej bezpieczny.
- Nawet o tym nie marzę - roześmiała się.
- Nie żartuję. Koczuję tu od kilku tygodni i dawałem

sobie radę nawet wtedy, gdy elektryk wyłączył zasilanie. Mam butlę gazową, śpiwór i mnóstwo puszek. To co, obejrzymy moją kolekcję?

- Czy te puszki nie są czasem skorodowane? - zażartowała, by odrzucić od siebie myśli, które wypełniły jej głowę, gdy Grant wypowiedział słowo „śpiwór”.

- E, nie jest tak źle.

Pomógł jej podnieść się z sofy, wręczył lampę naftową, a sam zapalił latarkę, po czym poprowadził Juliet do obszernej, luksusowo wyposażonej kuchni. Tu oświetlił róg stołu, gdzie było zgromadzone jedzenie.

- O, już to kiedyś jadłam. - Juliet podniosła puszkę z rosółem wołowym. - Całkiem smaczne.

- Dobra, podgrzeję ją. Tam jest chleb - skinął głową w stronę szafek - wieloziarnisty, z tej nowej piekarni.

Podpalił butlę gazową, odebrał od Juliet otwartą już puszkę i wlał jej zawartość do rondla. Następnie zaczął przeszukiwać kredens w poszukiwaniu dodatkowych talerzy i sztućców, Juliet zaś kroił chleb, mieszając od czasu do czasu do czasu gęstą zupę. Był zadowolony, że wreszcie zajęli się czymś konkretnym, po tym zaś, jak Juliet energicznie krząta się w kuchni, wyczuł, że i ona jest zadowolona.

Gdy drżącymi z zimna dłońmi rozlewała parującą ciecz do kubków, w chłodnej kuchni zdążyli zmarznąć tak bardzo, że oboje trzęśli się mimo ciepłych ubrań.

- Może zjemy przed kominkiem? - zaproponowała.

- Dokładnie o tym samym pomyślałem - odparł, wyjmując z jednej z szafek butelkę bordeaux. Postawił ją wraz z naczyniami na tacy i szybko ruszył do jedynego

ogrzanego pomieszczenia w pogrążonym w lodowatych ciemnościach domu.

- Przyciągnij ten stolik, a ja postawię tacę przy ogniu - zakomenderował. - Nie wystygnie tak szybko. I zgaś latarkę. Musimy oszczędzać baterie.

Juliet posłusznie spełniła jego polecenie. Pokój rozświetlały teraz jedynie strzelające w kominku płomienie i słabe światło naftowej lampki.

- Jak za harcerskich czasów - szepnęła Juliet z rozmarzonym wzrokiem. - Ocean ciemności zalewa ląd, a ludzie grzeją się przy nieśmiałyh płomyczkach.

Ocean ciemności zalewa ląd...

Ładnie powiedziane, pomyślał Grant. To jakby metafora całego jego cholernego życia. Mało w nim było słońca.

Ale czy ciemność nie ma też swoich dobrych stron?

To dzięki ciemności mógł teraz bez zażenowania przyglądać się odbłyskom ognia, igrającym w jasnych włosach i lśniących źrenicach Juliet.

Boże, ależ ona była piękna! Wyobrazził sobie, jak przytula ją i ogrzewa własnym ciałem. Tak jak wtedy, gdy uratował ją przed upadkiem. Niech to diabli, gdyby nie złapał jej w ostatniej chwili, mogłoby się stać coś strasznego.

Milczał. Było tak cicho, tak nastrojowo, tak intymnie, że bał się cokolwiek powiedzieć, by nie zepsuć uroku tej chwili. Przypomniał sobie, jak Juliet wiotczała w jego uścisku, i ni to westchnął, ni to jęknął z tęsknoty.

- Jedzmy. Umieram z głodu - wykrztusił z siebie pośpiesznie, by zatuszować ten niespodziewany odgłos, który wyrwał się nie proszony z jego piersi.

- Ja też.

Chwycił kawałek chleba i zaczął tykać kolejne łyżki ciągle gorącej zupy. Prześladowała go jednak nieprzyjemna myśl, że żadne jedzenie nie zaspokoi jego prawdziwego głodu.

- Ten pokój różni się od innych pomieszczeń - zauważyła Juliet, łamiąc grubą pajdę chleba na drobniejsze kawałki.

- Chcesz powiedzieć, że jest bardziej wygodny? - Sięgnął po korkociąg i otworzył butelkę wina.

- Bardziej przytulny. Sam dobierałeś meble?

- Nie. - Rozlał bordeaux do kryształowych kieliszków. - Tu zwyczaj przesiadywać mój szanowny ojciec. Podejrzewam, że mama celowo nie chciała niczego zmieniać po jego śmierci. Twoje zdrowie! - Podniósł kieliszek do góry. Juliet stuknęła swoim o grube szkło.

- Powiedziałeś, że sprzedajesz ten dom - powiedziała, upiwszy łyk wina.

- Mam taki zamiar. Nie mieszkałem w nim od dziecięciu lat. I nie chcę mieszkać. Muszę tylko załatwić sprawy po mamie.

- To ona nie żyje? - Juliet udała zdziwienie.

- Zginęła w wypadku.

Taką właśnie wersję znała z relacji w „The Baltimore Sun”. Wciąż jednak prześladowały ją opowieści Larry'ego, w których to syn winny był śmierci matki.

- W wypadku? W jaki sposób?

- Biegała... To znaczy uprawiała jogging. Jechał samochód i... Przepraszam cię, nie bardzo chcę o tym mówić. - Westchnął ciężko. - Dość że po części czuję się odpowiedzialny za tę śmierć.

- Dlaczego? - Serce od razu podskoczyło Juliet do gardła.

- Dlaczego? - powtórzył i minęło dobre pół minuty, zanim zaczął mówić dalej. - Bo wiedziałem, że coś ją gnębi, ale nie mogłem wydusić z niej co. Może gdyby pozwoliła sobie pomóc, byłaby w lepszej formie psychicznej, może bardziej by uważała...

- Nie obwiniaj siebie - powiedziała, kładąc rękę na jego ramieniu. Nie spodziewała się, że w głosie Granta usłyszy tak szczery ból.

- Widzisz, matka była zamknięta w sobie, nie miała w ogóle żadnych przyjaciółek - opowiadał, jak gdyby nagle zapragnął wyrzucić z siebie bolesne wspomnienia.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle potrzebowała kogoś bliskiego. Nawet ojca. Może nawet mnie.

- Każdy potrzebuje kogoś bliskiego.

- Nie zawsze - pokręcił głową - nie zawsze. Tak w ogóle to moi rodzice stanowili świetnie dobraną parę. Ojciec był obrotny i szarmancki, a mama chętnie spełniała rolę jego asystentki. Pomagała mu budować karierę i nawiązywać odpowiednie kontakty. Niestety, na drodze stanęła śmierć. Po pięćdziesiątce ojciec zmarł na zawał.

- Jakie to smutne...

- W gruncie rzeczy ta śmierć niewiele jednak zmieniła w moim życiu. I tak widywałem go rzadko, a mama szybko znalazła sobie nowe zajęcia i znów nie miała dla mnie czasu. - Zrobił pauzę. Uśmiechnął się do siebie smutno. - Zawsze wiedziałem - podjął po chwili swą opowieść - że nie chcę być taki, jak moi rodzice. Gdy więc któregoś ranka obudziłem się i stwierdziłem, że za-

czynam być dokładnie taki sam, postanowiłem zerwać z tym wszystkim. Z podziwem kobiety, która została moją żoną tylko po to, by stać obok mnie w świetle jupiterów; z kariery, która pochłaniała mnie całkowicie; z pieniędzy, które stały się w moim środowisku miarą ludzkiej wartości; z tej nieustannej pogoni za wygodą, bogactwem, luksusem, która tak strasznie otępia i z żywego człowieka robi pustego w środku manekina. Kiedy więc uświadomiłem sobie, że zmierzam do grobu podobną ścieżką co mój ojciec, wycofałem się z tego wysycigu szczurów.

- I jesteś teraz szczęśliwy?

Grant roześmiał się gorzko.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Jestem samotny, to cena wolności. Moja żona nie zaakceptowała bowiem tej zmiany. Kiedy odkryła, że dobrowolnie rezygnuję z czegoś, co dla niej było sensem życia, opuściła mnie w jednej chwili.

- Może to jednak lepiej, że zostałeś sam - powiedziała Juliet, szybko jednak zdała sobie sprawę, że ta uwaga zabrzmiała dwuznacznie, więc dopowiedziała jej dalszy ciąg. - Skoro to nie ty byłeś sensem jej życia... Pół roku temu ja podjęłam podobną decyzję. Nie wyszłam za mąż za mojego narzeczonego, który chciał, żebym sprzedała sklep i zajęła się domem. Im bardziej próbował mnie do tego przekonać, tym bardziej mnie do siebie zniechęcał.

- Nie chciałaś być żoną i matką?

- Chciałam. Pragnę tego jak każda kobieta - odparła pośpiesznie. - Ale on bardziej niż mnie samej chciał właśnie żony i matki, a że akurat nazywać się ona miała

Juliet Hartfield... Poza tym rodzinne doświadczenia nauczyły mnie, że nie można być zbyt uległą wobec mężczyzn. Moja mama zrezygnowała z posady nauczycielskiej dla mojego ojca i potem tego żałowała. A on siedział całymi dniami w swym biurze, bo był dyrektorem w Centrum Opieki Społecznej.

- No cóż. Jeśli lubił tę pracę...

Tym razem Juliet roześmiała się gorzko.

- Lubił? On jej nienawidził. W ogóle był wiecznie niezadowolony. Podobno wcześniej przechodził tak zwany „kryzys lat średnich”. Kiedy miałam pół roczku, opuścił nas i wyjechał do Nowego Meksyku. Tam zaczął wyrabiać srebrną biżuterię. Nie wiem, czy w końcu znalazł szczęście. Wiem w każdym razie, że już nie żyje.

Spojrzeli po sobie i oboje spostrzegli w swoich oczach zaskoczenie. Skąd się wzięła ta szczerość, ta nagła zażyłość? Rozmawiali jak dwójka przyjaciół, a nie jak obcy sobie ludzie, jakimi przecież byli.

- Czy odejście ojca było dla ciebie bardzo bolesne? Grant nie przerwał tej niezwyklej rozmowy, chciał grać dalej. Zadał pytanie, które na powrót wciągnęło ich w ten intymny krąg wyznań i zwierzeń.

- Bardziej zrozpaczona była mama. Próbowana być posłuszną żoną i nic z tego nie wyszło. Co gorsza, przez te kilka lat, kiedy nie pracowała, ministerstwo zmieniło wymagania wobec nauczycieli i nie mogła już wrócić do zawodu. Z początku była bezradna, ale kiedy przyjaciel zaproponował jej pracę w sklepie z antykami, wykorzystała tę szansę. Nauczyła się nowej umiejętności i gdy zmarła nasza ciotka, zostawiając w spadku trochę pie-

niędzy, zainwestowała we własny sklep. Jeszcze zanim ukończyłam szkołę średnią, zaczęło się nam całkiem nie-
źle powodzić.

- Pieniądze nie dają szczęścia.

- Oczywiście, ale łatwiej być szczęśliwym, jeśli nie trzeba się przejmować nie zapłaconymi rachunkami.

- Czy ja wiem? Nie wiem, czy nie wolalbym mieć rodziców, którzy nie byliby tak bogaci, ale pomagaliby mi za to przy rozwiązywaniu prac domowych, zabierali mnie do zoo i patrzyli, jak gram w piłkę nożną. Moi wysyłali mnie wszędzie z opiekunką.

Juliet spojrzała na niego ze współczuciem i w tej samej chwili przypomniała sobie słowa Larry'ego: Grant Remington to łajdak; Grant to wcielone zło; bezduszny, podstępny, chciwy, nie cofnie się przed niczym...

No właśnie. Czy przyjechała tu optakiwać nieszczęśliwe dzieciństwo Granta Remingtona? Czy nie powinna raczej pomyśleć, jak wypełnić misję, której się podjęła?

Tak naprawdę miała jednak ochotę zapomnieć o tej misji. Widziała przecież oczy tego człowieka. Naprawdę krwawiło mu serce. Czy ktoś, kto ma taką wizję szczęśliwego dzieciństwa, może być łajdakiem?

Na wszelki wypadek lepiej będzie jednak zachować pewien dystans.

- No, chyba wystarczy nam już tych zwierzeń - powiedział nagle Grant, jakby zgadując jej myśli. Oblała się rumieńcem. - Popatrz na weselszą stronę sytuacji, w której się znalazłaś - dodał wesoło. - Już jutro będziesz mogła rozpocząć te swoje wykopaliska w jaskini Remingtonów.

- Jaskinia, wykopaliska? To tak się nazywa dom pełen rodzinnych pamiątek?

- Pozbycie się ich sprawi mi wielką ulgę.

Hm, czyżby Larry mylił się i w tej kwestii? Chciała dopytać się, dowiedzieć na ten temat czegoś więcej, lecz Grant podszedł do tacy, wziął z niej talerz z pokrojonym ciastem z supermarketu i podsunął jej pod nos.

- Deser - oświadczył z uśmiechem.

- Uciekasz od tematu?

- Nie. Część druga historii po kolacji. - Nadziała kawałek ciasta na widelec i wyciągnęła je w stronę ognia.

- Ja też zawsze lubiłam przypiekać je na ogniu - roześmiała się Juliet. - Wszyscy w moim zastępie przypiekali ciastka nad ogniskiem. Byłeś harcerzem?

- Nie. Czasami tylko, kiedy było zimno, Pat rozpałał ognisko w metalowej beczce. Jeśli był w dobrym nastroju, pozwalał mi udawać, że rozbiliśmy obóz w lesie.

- Pat-ogrodnik?

- Tak. - Wyciągnęła opieczzone ciasto z ognia i przyjrzał mu się krytycznie, po czym włożył je z powrotem między płomienie. - Jeszcze nie gotowe.

Kiedy po minucie ciasto było wreszcie, jak należy, ciemnobrązowe, wyciągnęła widelec w stronę Juliet.

- Jest twoje - zaprotestowała.

- A ty jesteś moim gościem.

- No dobrze. - Wzięła widelec i ostrożnie spróbowała dymiącego przysmaku. - Pycha - przyznała, obliżując się od ucha do ucha. Grant spojrzał przelotnie na jej wilgotne usta, zauważyła to jednak i oblała się ru-

mieńcem. - Szkoda, że nie masz krakersów i czekolady.
Też nieźle się pieką.

- Nie zawstydzaj mnie.
- Już nie będę.

Obydwoje roześmieli się szczerze. Do licha, naprawdę dobrze im było ze sobą.

Grant przeciągnął się błogo i zaczął zbierać nie dojedzone resztki posiłku.

- Zaniosę tacę do kuchni.
- Pomóc ci?
- Gość musi odpocząć.
- Daj spokój, nie planowałeś towarzystwa na wieczór.
- A był o wiele bardziej udany niż myślałem. Szkoda,

że niedługo się skończy. Chyba że nie zamierzasz iść spać, tylko czytać przy kominku jak Abraham Lincoln.

- Nie sądzę, żeby moje oczy to wytrzymały.
- W takim razie łazienka jest niedaleko, drugie drzwi za pokojem. Możesz się umyć, zanim zrobi się jeszcze zimniej.

- Dobry pomysł.

- Lepiej weź płaszcz. - Okrył jej ramiona i wręczył lampkę.

Juliet nie zaprotestowała. Pozwoliła zaprowadzić się przez wyziębiony korytarz do łazienki i zamknęła za sobą jej drzwi.

- Jak skończysz, wróć do pokoju - usłyszała jeszcze.
- Tam jest najcieplej. Ja też niedługo przyjdę.

Szczękając z zimna zębami, szybko przemyła chłodną wodą twarz i dłonie. Na szybie niewielkiego okna dostrzegła warstewkę lodu i zrobiło się jej jeszcze zimniej.

Lodowa twierdza, pomyślała i ta myśl na powrót przywołała skojarzenie z księżniczką uwięzioną w wieży. Czy budząc się dzisiaj rano, mogła przypuszczać, że ten dzień będzie miał tak burzliwy przebieg? Że znajdzie się w pułapce i że nie będzie pewna, czy dobrze robi, decydując się dobrowolnie w niej pozostać?

Wyszła na korytarz. Z kuchni dochodził brzęk naczyń. Grant zmywał po kolacji. Rozważała przez chwilę, czy nie powinna zaofiarować mu pomocy, gdy jednak spojrzała na swe zgrabiące palce, szybko zarzuciła ten pomysł.

Podreptała z powrotem do pokoju, pogrzebaczem odwróciła na drugą stronę przepalone kloce drewna i dodała kilka świeżych. Kiedy zajął je płomień, wyciągnęła się przed kominkiem na grubym dywanie i okryła płaszczem. Tak bardzo była zmęczona. Tyle przecież się dzisiaj wydarzyło. Ledwo przymknęła oczy, a już pochwycił ją w objęcia sen.

Gdy zbudziła się jakiś czas później, uświadomiła sobie, że Grant przykrył ją śpiącą dodatkowymi kocami. Chciała usiąść, lecz przytrzymał ją lekko.

- Leż. Lepiej odpoczniesz.
- Powinnam była ci pomóc.
- Jestem przyzwyczajony, że wszystko robię sam.

Wspart się na łokciu obok niej, wyciągnął w kierunku ognia swe długie nogi. Mijał czas. Juliet zapadała w płytki sen i budziła się na przemian, Grant gładził ją od czasu do czasu uspokajającym ruchem po głowie. Pomrukiwała wtedy cicho, nie wiadomo - przez sen czy na jawie.

- Masz takie miękkie włosy... Wiedziałem, że są takie.

Odwróciła do niego twarz. Musnął opuszką palca jej policzek. Czy to sen? - pytała sama siebie. Nie, nie sen. Jej oczy były otwarte. Widziała wyraźnie, jak Grant nachylił się nad nią, jak przesuwa kciukiem po linii jej ust.

Rozchyliła je z westchnieniem, by poczuć smak jego skóry. Boże, co ona robi?

- Powinnaś zasnąć.
- Zostań przy mnie.
- Zostanę.

Cholera jasna, Grant wiedział, że nie powinien jej dotykać ani leżeć tak blisko. Ale zamiast cofnąć dłoń, wsunął ją głębiej we włosy Juliet. Zamiast odsunąć się od niej, ułożył się jeszcze bliżej i zaciągnął słodkim zapachem perfum, tak fantastycznie komponującym się z naturalnym zapachem jej ciała.

Leżał i słuchał, jak ta piękna kobieta mruczy niczym głaskana kotka. Wiedział, że jest zmęczona, że tylko temu, że wystraszona, poraniona i niespokojna, odnalazła wreszcie chwilowe ukojenie, on zawdzięcza możliwość napawania się jej kruchością, bezbronnością i pięknem. Nie, nie mógł pozwolić sobie na nic więcej, choć instynkt podpowiadał mu, że nie protestowałaby, gdyby on...

Dość. Zasnęła na dobre. Słuchał przez chwilę jej równego oddechu, po czym podniósł się i poszedł do kuchni. Przez okno dojrzał na tarasie kilkunastocentymetrową już warstwę białego puchu. Ciągle padało. Pomyślał, że przy takiej pogodzie Juliet na pewno nie zdecyduje się wracać do domu, i myśl ta sprawiła mu nieoczekiwaną radość. Rano, kiedy się obudzi, znów będzie ją miał dla siebie.

Wrócił do pokoju i cicho położył się przy Juliet. Kciukiem, którym wcześniej dotykał jej warg, przesunął po swoich ustach, próbując wyobrazić sobie pocałunek. Jego ciało zareagowało natychmiast. Wyobrażał sobie teraz, jak miękkie i delikatne są jej piersi. Fantazjował, że przytula ją i budzi, że Juliet ochoczo reaguje na jego gesty...

A więc stało się.

Wpadł. Nie dotrzymał danego sobie słowa. Juliet Hartfield zawładnęła jego myślami. Początkowo irytowała go tylko, później intrygowała. Kiedy jedli kolację i wymieniali wspomnienia z dzieciństwa, stała się mniej podejrzliwa, bardziej śmiała i szczera, i tym wzbudziła jego sympatię. A kiedy ułożyła się do snu, rozkosznie bezwolna, wzbudziła w nim namiętność.

Do licha, czy był tak zuchwały, tak naiwny, żeby pomyśleć, iż słowa „Zostań ze mną”, które usłyszał z jej ust, były zaproszeniem do miłości? A gdyby nawet, to co? Przecież nawet dobrze jej nie znał. Fakt, od dawna nie dzielił łóżka z kobietą, ale przecież sam sobie tłumaczył, że wcale mu nie jest z tym źle. Najbardziej przydałby mu się teraz spacer w śniegu, schłodziłby go nieco.

Jednak zamiast wstać, Grant Remington przewrócił się tylko na drugi bok, wymościł pod głowę poduszki i zaczął wpatrywać się w ciemność, która kryła Juliet Hartfield - kobietę, której pożądał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Poranną ciszę przerwał przeraźliwy pisk. Juliet zaczęła mamrotać coś ze złością i sięgnęła ręką w poszukiwaniu źródła dźwięku. Dopiero po chwili zorientowała się, że to nie budzik, lecz pager, który zapomniała wieczorem wyłączyć. Kiedy jednak sięgnęła do paska, jej dłoń zderzyła się z twardą męską ręką. Ręką, która również czegoś szukała.

Juliet w jednej chwili przypomniała sobie wszystko: że zasypiała obok Granta Remingtona, że w nocy ich ciała nieustannie się o siebie ocierały, że słyszała za sobą jego niespokojny oddech, tak niespokojny, jakby...

Odsunęła się odruchowo, lecz pech chciał, że dłonią oparła się o podbrzusze Granta. Zapłonęła rumieńcem i wykrztusiła niewyraźne „przepraszam”, odpowiedział jej jednak tylko stłumiony jęk. Grant opadł na plecy, a wtedy ona, korzystając z okazji, wygrzebała się spod koca i przycisnęła guzik pagera.

Kiedy zdołała już zapanować nad emocjami, zerknęła na informację wyświetloną na ekranie. Serce znowu podeszło jej do gardła - Larry próbował się z nią skontaktować!

Świetnie, pomyślała. Jeśli nie oddzwonię, zadzwoni jeszcze raz, a może nawet przyleci tu helikopterem!

Zadrzała - bardziej z zimna niż z obawy przed spotkaniem z kuzynem. Ogień w kominku dawno zgasł i temperatura w pokoju znacznie spadła. Mogła przynajmniej teraz się usprawiedliwić, że to właśnie z tego powodu przytulała się do Grania w czasie snu.

Spojrzała na niego niepewnie. Wpatrywał się w okno, jakby nie chciał patrzeć w jej stronę. Powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem i aż zmrużyła oczy, widząc oślepiający blask słońca, odbity i zwielokrotniony w załegającym wszędzie śniegu.

- Przepraszam - Grant chrząknął z zakłopotaniem. - Naprawdę nie chciałem tak cię... dotknąć. Swój pager wyrzuciłem pół roku temu, ale wciąż odruchowo po niego sięgam.

Juliet machnęła ręką na znak, że nic się nie stało. Spodobało jej się, że Grant jest tak samo zakłopotany, jak ona.

- Nie twoja wina.
 - Gdybym spał gdzie indziej...
 - ...i zamarzył na śmierć - dokończyła przewrotnie.
- Naprawdę nie ma sprawy.

Żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie, zaczęła przerzucać w kominku drewno, wyszukując nienadpalone kawałki.

- Daj, ja to zrobię. - Grady wyjął pogrzebacz z jej rąk. - A ty bierz za telefon. Jeśli ktoś jeszcze przed ósmą próbuje się z tobą skontaktować, sprawa musi być pilna.

- To... mój kuzyn. Musimy przedyskutować pewien interes.
- Możesz skorzystać z telefonu w kuchni.
- Dzięki.

- Jak skończysz, nastawię wodę na kawę.

O ile w ich pokoju panował chłód, to reszta domu przypominała Syberię. Juliet wyjrzała przez okno, po czym westchnęła zrezygnowana i wykręciła numer Larry'ego. Odebrał od razu.

- Juliet? Gdzie jesteś?
- U Remingtona.
- Co ty tam robisz o tej porze?
- Śnieg zasypał drogę. Nie mogę się stąd ruszyć.

Larry gwizdnął przez zęby.

- Rozumiem. Sprytna dziewczynka. No i co odkryłaś?

Juliet usłyszała hałas w korytarzu i wyjrzała przez uchylone drzwi. Nie dostrzegła jednak nigdzie Granta. Poczucia za to wyrzuty sumienia.

- Chyba nie myślisz, że teraz wszystko ci opowiem?
- Bardzo bym chciał.
- Larry, źle się czuję w roli szpiega.
- No co ty? A gdzie lojalność wobec rodu Lancasterów? Przecież sama się zgodziłaś...

- Przestań - przerwała zdecydowanie. Ze strachem pomyślała, co by było, gdyby Remington podniósł słuchawkę w pokoju i podsłuchał ich rozmowę. Mimo wszystko nie przypuszczała jednak, żeby był w stanie to zrobić. - Nic więcej nie mów. Zadzwońię do ciebie, jak tylko wrócę.

- Juliet! Nie zmarnuj okazji, pamiętaj...

- Cześć! - Rzuciła słuchawkę na widełki, oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Czują, że serce wali jej jak szalone.

Odetchnęła głęboko. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek w swoim życiu przeżywała takie emocje, jak od wczoraj. Podeszła do okna i przycisnęła czoło do szyby, by ostudzić nieco rozpaloną głowę. Na zewnątrz, jak okiem sięgnąć, wszystko przysypane było grubą warstwą białego puchu. Gdyby tylko mogła się stąd wydostać, na pewno od razu wróciłaby do domu. Ale jak to zrobić?

By całkiem nie zamarznąć, wróciła po chwili do pokoju. Głowa była gorąca, ciało - wręcz przeciwnie. Zauważyła, że podczas jej nieobecności Grant na nowo rozpalił w kominku, a zwinęte w kłębek pościanie przesunął w róg pokoju. Po nim samym nie było jednak śladu.

Zagrzała się nieco i wyszła na korytarz, by go odszukać. Dojrzała go na zewnątrz, przez uchylone drzwi wejściowe. Stał zafrasowany i przyglądał się zasypanemu sprzętowi i samochodom. Śnieg sięgał mu do kolan. Narzuciła płaszcz i wyszła za nim na dwór. Widząc ją, odwrócił się i wzruszył tylko bezradnie ramionami.

- Przed chwilą dzwoniłem do firmy, która zawsze odśnieża tu podjazd. Obiecali, że przyjadą, jak tylko to będzie możliwe.

- Jak tylko to będzie możliwe... No tak. Zastanawiam się, jak długo zmuszona będę chodzić w tym samym ubraniu.

- Przecież możesz przebrać się w coś wygodniejszego.

- Czy mam rozumieć, że chcesz mi pożyczyć swoje dzinsy?

Grant wszedł na ganek, szeroko otworzył drzwi i zaprosił Juliet z powrotem do domu.

- Na pewno znajdziemy tu całe stopy damskich ubrań. Na razie jakoś nie mogłem się zmusić, żeby je przejrzeć.

- Mam założyć ubrania po twojej matce?

- Nie musisz. Chodzenie na zakupy było jedną z jej ulubionych rozrywek. Kupowała więcej niż jej było trzeba. Gwarantuję, że znajdziesz wszystko - od bielizny do markowych sukien - jeszcze z metkami. Chodźmy na górę.

Zaprowadził ją po schodach do urządzonej z przesadnym przepychem sypialni, w której ściany były zielone, a potężne łożo wypełniało niemal pół pokoju.

- Sprawdź, co jest w tych szufladach. - Grant wskazał na rząd szafek.

W pierwszej znalazła pieczołowicie złożone jedwabne chusty od najbardziej znanych projektantów. Szybko oceniła, że razem wzięte warte są tysiące dolarów. W drugiej szufladzie odkryła kolekcję sportowych skarpetek, w trzeciej jedwabne i koronkowe pończochy. Te po prawej stronie najwyraźniej były już używane, pozostałe wciąż miały przyłączone metki. Pod pończochami Juliet znalazła plik dokumentów, które wyglądały na listy. Odłożyła je od razu, by nie naruszyć tajemnicy prywatnej korespondencji, i już miała zamykać szufladę, kiedy wpadły jej w oko grubo podkreślone słowa. Przeczytała je i zbladła.

- Co się stało? - Grant podbiegł do niej zaniepokojony. W pierwszej chwili pomyślał, że przeraził ją być może widok ukrytego wśród dawno nie ruszanej bielizny pająka, jednak ona wskazała dłonią plik papierów. Na samym jego wierzchu leżał list, który i jego przyprawił o błądź oblicza.

Droga Edith! Jest ci pisana śmierć...

Porwał papiery w dłoń i zaczął je gorączkowo przetrzucać. Wśród licznych listów znalazł cztery napisane na komputerze, wydrukowane na kremowej papeterii. Każdy z nich zaczynał się od słów „*Droga Edith!*” i zawierał krótką pogrózkę. Żaden nie był podpisany. W ostatnim, wysłanym, jak się okazało, około dwóch tygodni przed śmiercią matki, była rada, żeby uporządkowała swoje sprawy, zanim odejdzie z tego świata.

Grant poczuł, jak napinają mu się mięśnie. Podniósł wzrok i spojrzał na Juliet nieprzytomnym wzrokiem.

- Dlaczego, do jasnej cholery, mi o nich nie powiedziała? Dlaczego nie poprosiła o pomoc? Dlaczego?

- Powiedziałeś, że nigdy się nie zwierzała.

- Tak - przytaknął przez ściśnięte gardło. - A ja nie nalegałem. Nigdy nie potrzebowała ani mnie, ani nikogo innego. Nie prosiła o pomoc. A przecież gdyby tylko powiedziała jedno słowo...

Juliet pogłaskała go ze współczuciem po ramieniu. Przez chwilę wahał się, lecz po chwili przytulił ją z głośnym westchnieniem.

- Och, Grant - wyszeptwała, błądząc dłońmi po napiętych mięśniach jego pleców. - Skąd mogłeś wiedzieć, biedaku? Pewnie nie mówiła ci o tych listach, bo nie chciała, żebyś wiedział. Nigdy by nie powiedziała.

Grant bardzo chciał wierzyć w słowa Juliet. Nie mógł jednak strząsnąć z siebie poczucia winy.

- Powinienem być jednak...

- Czy ktokolwiek umie czytać w ludzkich myślach?

Nikt, ty też nie. Skąd miałeś wiedzieć, że dostawała ano-

nimy z pogroźkami? - Juliet zatopiła palce we włosach Granta i odwróciła jego twarz tak, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

Nie był w stanie dłużej się opierać. Już w nocy chciał ją pocałować, ale przekonał samego siebie, że nie powinien tego robić. Teraz jednak był bezradny wobec własnych pragnień. Zbliżył się do Juliet i złożył na jej ustach długi pocałunek. Pragnął zatopić się w jej ramionach, utonąć, przepaść na zawsze, byle tylko nie wracać do rzeczywistości, która stawała się dla niego nie do zniesienia.

Oderwał się od jej ust, gdy przestraszył się swego pożądanego.

Nie. Nie wolno mu. Nie powinien.

Przez kilka minut stali w bezruchu, wsłuchani w ciszę tego wyziębionego, pustego domu. Grant był zdumiony. Bał się swej namiętności, a jednak sprawiła ona, że wstąpiły w niego nowe siły. Ten pocałunek go odmienił. Co takiego było w Juliet Hartfield, że zdołała uciszyć jego ból, niepokoje i strach?

Westchnął głęboko. Uświadomił sobie, że w rękę wciąż trzyma listy.

- Kto, u licha, mógł je wysłać?
- Ktoś, kto chciał zastraszyć twoją mamę.

Odsunął się o krok, wciąż jednak trzymał dłoń Juliet.

- Często kłóciła się z sąsiadami - zaczął wspominać. - Zdaje się, że ostatnio doszło do starcia w zeszłym roku. Jordanowie chcieli coś tam dobudować do swojej willi, a mama walczyła w urzędach, żeby zablokować te plany. Tim Jordan wpadł w furję. Był nawet podejrzany

w związku z jej śmiercią. Jednak po przesłuchaniu i śledztwie, uwolniono go od podejrzeń.

Juliet mocniej ścisnęła dłoń Grania.

- Może teraz pojawiły się nowe dowody.

- Sam nie wiem. Wolałbym najpierw pokazać te listy mojemu prywatnemu detektywowi, Mike'owi Lancerowi.

- Mike'owi Lancerowi? - spytała zaskoczona. -

Znam Mike'a. Jego biuro mieści się przy Light Street 43, w tym samym budynku, w którym mam kilka antyków na sprzedaż. Ale dlaczego nie chcesz pójść z tym do policji?

Grant skrzywił się lekko.

- Widzisz, moja mama regularnie nadużywała kompetencji policji. Kiedy na przykład ktoś źle zaparkował samochód przy Long View Road, od razu wzywała samego komendanta. Mam wrażenie, że policjanci nie rozpaczali, kiedy zginęła.

- Ale na pewno nie pozwoliliby, żeby morderstwo uszło zabójcy na sucho.

- Jasne. Robili dochodzenie. Kiedy jednak nic nie znaleźli, orzekli, że zginęła wskutek nieszczęśliwego wypadku.

- A ty myślisz, że to wcale nie był nieszczęśliwy wypadek, prawda?

Spojrzał jej w oczy.

- Czuję to instynktownie.

Nie tylko czuł. Mógłby więcej powiedzieć w związku z takim podejrzeniem. Na przykład to, że wkrótce po śmierci pani Remington zawaliły się schody z tyłu domu, kiedy on, Grant, po nich wchodził. Miał szczęście, że

upadek skończył się tylko złamaniem nogi i wprawdzie dość groźnym, ale przecież nie śmiertelnym urazem wątroby.

- Poprosiłem Mike'a, żeby się rozejrzył i postarał coś znaleźć.

I znalazł. Mike Lancer dość łatwo odkrył, że schody były częściowo podpiłowane. Nie wiadomo tylko przez kogo.

Grant odwrócił twarz do okna.

- Chciałbym przefaksować te listy Mike'owi. Może uda się w końcu udowodnić, że to nie był nieszczęśliwy wypadek.

- Mike i tak pewnie nie dotrze dzisiaj do biura. Przy tej pogodzie...

- Masz rację.

Grant westchnął z rezygnacją. Był podekscytowany z powodu tego przerażającego znaleziska, wiedział jednak, że w tej chwili nie jest w stanie w żaden sposób go wykorzystać. W ciągu kilku ostatnich lat nauczył się, że jeśli nie można akurat podjąć żadnego konkretnego i skutecznego działania, należy się zrelaksować, odpocząć i poczekać na odpowiedni moment.

Szybko więc skierował myśli na inne tory.

Kobieta. Juliet. Czarowna dziewczyna, która wciąż trzymała go za rękę.

Spojrzał na jej usta i od razu zapomniał o problemach.

- Wybierz sobie coś do ubrania, a ja schowam listy w bezpieczne miejsce i zrobię śniadanie - powiedział, nie spuszczając z niej wzroku. - Najlepiej weź sweter

i spodnie - poradził. - I czuj się jak u siebie w domu.
Możesz skorzystać z jednej z pięciu łazienek.

Juliet nie zdążyła jeszcze wyjść z kąpieli, a już wstrząsnęła nią nowa fala dreszczy. Drżała z zimna, ale też od nadmiaru emocji. Wytarła zziębnięte ciało, pośpiesznie włożyła nowiutkie beżowe spodnie z jasnej wełny i ciepły błękitny sweter. Na nogi naciągnęła o numer za duże ciepłe buty, po czym przejrzała się w lustrze i poprawiła ręką włosy. Kiedy zobaczyła swoje odbicie, do oczu napłynęły jej łzy.

Kłamała. Przez cały czas zdawała sobie sprawę, że okłamuje Granta Remingtona. To prawda - skrzywdził jej rodzinę (jeśli oczywiście prawdą było to, co mówił Larry), wobec niej, Juliet, był początkowy oschły i nieufny, a jednak czuła wyrzuty sumienia, że nie jest z nim do końca szczerą. Czuła się uwięziona, ale to przecież nie on ją więził, lecz pogoda. Co więcej, opiekował się nią, karcił, ogrzewał. I jakby tego wszystkiego było mało - coraz bardziej jej się podobał.

Musi mu powiedzieć, dlaczego naprawdę tutaj przyjechała. Wspominał przecież, że nie znosi zakłamanych kobiet. Ona sama mówiła, że nie może żyć z kłamstwem w sercu. Czy miałyby zostać we własnych oczach hipokrytką?

No tak, ale co będzie, jeśli wyznając mu prawdę, skłoni go do wyrzucenia jej ze swego domu. Miałby do tego pełne prawo, czyż nie? Poza tym, choć mogła powiedzieć mu wszystko o sobie, to jakie miała prawo zdradzać prawdę o Larrym bez jego pozwolenia. A przecież nie mogła

skontaktować się z kuzynem i wdać się z nim w szczegółową dyskusję.

Nałożyła płaszcz, wsunęła dłonie do kieszeni i powolnym krokiem ruszyła do kuchni. Grant smażył właśnie jajecznicę na szynce, słuchając jednocześnie przez radio najnowszych wiadomości. Wciąż nadawano komunikat o trudnych warunkach drogowych. Spiker przestrzegał, by unikać tego dnia jakichkolwiek wypraw samochodem.

- Zmartwiona? - Podniósł głowę, gdy weszła i ujrzał jej zafrasowaną minę. - Cóż, rzeczywiście nie brzmi to ciekawie.

- Tak, ale nie o to mi chodzi. Nie tylko o to... Muszę ci coś powiedzieć. Coś, co wprawia mnie w zakłopotanie.

- Co takiego? - zapytał zainteresowany.

- Kiedy zadzwoniłeś do mnie z prośbą, żebym wyceeniła twoje kosztowności, powinnam była od razu przyznać się, kim jestem. - Juliet zrobiła pauzę. Odwróciła wzrok. - Pochodzę z rodziny Lancasterów - dokończyła szybko.

Teraz mogła tylko czekać, co będzie dalej.
Grant zmarszczył brwi.

- Tej samej, która od stu lat toczy walki z moją rodziną?

- Tak. Z początku miałam zamiar odrzucić twoją propozycję, ale... ale moi krewni chcieli się dowiedzieć, które z ich rodzinnych skarbów należą teraz do ciebie. Powinnam ci była od razu o tym powiedzieć...

Wzrok wciąż miała utkwiony w zimowy pejzaż za oknem. Kątem oka dostrzegła jednak, że Grant zacisnął

gniewnie pięści. Czego niby miała się spodziewać? Że rzuci jej się na szyję, gdy dowie się o wszystkim?

- Lancasterowie zawsze zazdrościli Remingtonom - powiedział ponuro i spojrzął nieufnie na Juliet.

- Nieprawda! - zaprzeczyła, gotowa wyjaśnić wszystkie rodzinne zaszłości. - Słyszałam, że wszystko zaczęło się od tego, że Zebulon Remington porzucił Anabel Lancaster.

- Ja natomiast słyszałem, że było odwrotnie.

- Jasne. Pewnie też uważasz, że twoja rodzina nie zaszkodziła wcale mojej, kiedy przekupiła robotników, żeby zbojkotowali nasze magazyny po pożarze w Baltimore w 1904 roku?

- Nikogo nie przekupiliśmy. Po prostu oferowaliśmy lepsze warunki.

- To tylko twój punkt widzenia.

Jajecznicza na patelni zaczęła się przypalać, wydzielając ostrą woń. Grant z hukiem zestawił ją na granitowy stół.

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? - zapytał wolno i spojrzął na Juliet przenikliwym wzrokiem.

Nie chciała odgrzewać starych kłótni ani prowokować nowych. Sama nie wiedziała dlaczego, ale zależało jej na zgodzie, na tym, by stosunki między nimi opierały się na prawdzie, a nie na fałszu.

- Przyjechałam do ciebie pełna uprzedzeń. Wmówiłam sobie, że jesteś moim wrogiem. Jednak to, co dla mnie zrobiłeś, tak bardzo różniło się od moich wyobrażeń, że... - zaważała się - że polubiłam cię w końcu. I to bardzo - dodała z niepewnym uśmiechem. - Teraz inaczej na ciebie patrzę. Wiem, że wiele przeżyłeś...

Grant sapnął gniewnie.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiło ci się mnie żal?

- Nie. Chciałam tylko... Miałam nadzieję, że może my... - urwała w połowie zdania. Wiedziała, że jeśli powie choć jedno słowo więcej, rozplacze się i całkiem rozklei. Pokręciła więc tylko bezradnie głową i wybiegła z kuchni.

Uciec stąd. Pierwsza myśl zawsze jest najlepsza. Powinna była jej posłuchać i uciec jak najdalej. I pewnie by uciekła, gdyby nie ta dziura w podłodze i nie awaria elektryczności.

Teraz jednak było jasno. Wystarczająco jasno.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Juliet usłyszała za sobą ciężkie kroki i przyśpieszyła. Chciała uciec, jednak ten ponury dom był jak labirynt. Skręciła nie tu gdzie trzeba i zamiast na zewnątrz, znalazła się w jakimś małym pomieszczeniu bez wyjścia.

Wpadł za nią, poczuła jego dotyk na ramieniu.

- Zostaw mnie w spokoju! - Próbowata się wyszarpnąć.

On jednak odezwał się nieoczekiwanie łagodnie i ciepło.

- Przepraszam. Mam zły nawyk: najpierw mówię, potem myślę.

Zdziwiła się. Spodziewała się raczej dalszego ciągu awantury.

- Wyjdź stąd, proszę - wyszeptata, zakrywając dłonią twarz i próbując się uspokoić.

- Dużo musiało cię kosztować powiedzenie mi prawdy.

Podniosła na niego jeszcze bardziej zdziwione oczy. Odwrotnie niż w bajce o Czerwonym Kapturku, to nie dobra babcia okazała się wilkiem, ale wilk babcią.

- Musiałam ci powiedzieć.

- Dlaczego? - Ujął łagodnie jej dłoń.

- Nie mogłam znieść myśli, że ty stajesz mi się coraz

bliższy, a ja przyjechałam tu z niecznymi zamiarami. Zresztą prędzej czy później i tak byś się dowiedział...

- Zdziwiasz mnie, Juliet.

Pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to wszystko, co się dzieje, i przyciągnął ją z westchnieniem ku sobie.

Nie protestowała. Wręcz przeciwnie, owinęła ramiona wokół jego szyi, uniosła głowę, a wtedy ich usta spotkały się w gorącym pocałunku.

- Grant. Och, Grant...

Oboje poczuli, że ogarnia ich namiętność. Juliet wsunęła palce pod jego koszulę, a on nakrył dłońmi jej piersi. Wygięła się rozkosznie, jęknęła, jej bujne piersi stały się nagle twarde i spragnione nowych pieszczot. Grant przycisnął ją mocno do siebie, chwycił za biodra, pchnął lędźziami, by poczuła, jak bardzo jest spragniony.

Z ust Juliet wydął się kolejny zduszony jęk. Chciała go, pragnęła równie mocno, jak on jej! Oszołomiony tym odkryciem, jeszcze silniej poczuł wzbierającą w nim żądzę. Gorączkowo odgarnął miękki sweter i zaczął niecierpliwymi palcami rozpinąć jej stanik.

Juliet, kochana Juliet.

Tak słodka, tak chętna, tak krucha, tak ufna...

- Boże, co ja robię? - pytał sam siebie.

- Kochasz się ze mną.

- To szalerństwo. Nie... Nie możemy tego zrobić. -

Znieruchomiał nagle. - Naprawdę nie możemy. - Odsunął się nieco i spojrzał w jej twarz.

Podniosła zdziwiony wzrok.

- Ale... Przecież nie protestowałam. Nie prosłam, żebyś przestał... - szepnęła zdezorientowana.

- Nie chcę przestać. - Pokręcił bezradnie głową. -
Ale też nie chcę cię wykorzystać.

- Myślisz o całej tej sytuacji?

- Tak.

- A dokładnie? - spytała przez ściśnięte gardło.

Grant musnął kciukiem jej policzek.

- Sam nie wiem. Od wczoraj tak wiele się stało. Nawet nie ma czasu, żeby o tym spokojnie pomyśleć. Kiedy na przykład powiedziałaś, że jesteś spokrewniona z Lancasterami, zachowałem się jak twój wróg, a przecież nie czuję się nim. Tak czy inaczej, zarówno tamto, jak i to, co robimy teraz, nie jest chyba właściwe.

- Mam nadzieję, że się mylisz.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Postuchaj, Juliet, wiem, co o mnie myślisz. Sam nie wiem, czego chcę, tak? Pewnie masz rację. Jesteś pierwszą kobietą od czasu rozwodu, której pozwoliłem się do siebie zbliżyć. Niewykluczone, że wyszedłem z wprawy i nie zachowuję się jak normalny facet.

Juliet przechyliła zalotnie głowę.

- Na mój gust wcale nie wyszedłeś z wprawy.

- Dzięki za komplement. Tylko że mi chodzi o taki drobiazg jak uczucia.

Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Rozumiała go. Miał za sobą bolesny rozwód, obawiał się na pewno kolejnego związku, a ona sama nie dała mu jak dotąd zbyt wielu powodów, by mógł jej zaufać. Mimo to zrobiło jej się przykro, że Grant Remington najwyraźniej nie widzi w tym, co ich łączy, uczuć, a tylko czystą fizyczną namiętność.

- Chcesz więc, żebym znalazła innego rzeczoznawcę?
Zapadła długa cisza. Wreszcie Grant odezwał się pewnym i zdecydowanym głosem.

- Nie. Wolę, żebyś to ty wyceniła mój majątek. Polecono mi cię jako wybitnego specjalistę. Poza tym jesteś uczciwa. Gdyby było inaczej, nie przyznałabyś się.

Juliet kiwnęła głową. Spodziewała się usłyszeć jeszcze coś - że nie tylko jej kompetencje mają wpływ na jego decyzję. Cóż, niepotrzebnie się łądziła. Trudno. Pozostało teraz jedynie wziąć się do pracy, a przedtem wyjaśnić ostatnią tajemnicę.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedziała, wyjmując z kieszeni mosiężny klucz. - Wiesz, co to jest?

Pokręcił głową.

- Ten klucz pasuje podobno do jakiejś skrzyni czy pudła, które należało do mojej rodziny, a trafiło w ręce Remingtonów. Nie wierzę wprawdzie, żeby dotąd było zamknięte, lecz jeden z moich krewnych prosił, żebym to sprawdziła, jeśli więc nie masz nic przeciwko temu...

Grant wziął klucz, zaciekawiony. Obrócił go w dłoni, przyglądając się główce w kształcie serca.

- Nigdy nie słyszałem tej historii.

- Sądzę, że skrzynia została otwarta dawno temu, jeśli jednak nie, to kryje jakąś tajemnicę rodziny Lancasterów. Może moglibyśmy poszukać jej razem? A jeśli nie znajdziemy, chciałabym, żebyś mi pozwolił samej prowadzić dalsze poszukiwania.

- W porządku, szukaj. I dziękuję ci za zaufanie. - Wyciągnął do niej klucz na otwartej dłoni.

- Zatrzymaj go.

- Dzięki. - Schował powoli klucz do kieszeni. - Powiedz, Juliet. Gotowa byłaś szukać tej skrzyni bez mojego pozwolenia?

- Miałam taki zamiar. Ale szybko doszłam do wniosku, że nie mogłabym potem spojrzeć na siebie w lustrze. Po kryjomu penetrować ci dom, podczas gdy ty masz mnie za fachowego rzeczoznawcę? To nie ja.

- Cieszę się, że to mówisz.

Grant zmoczył twarz zimną wodą. Jeśli Juliet Hartfield zamierza wyprowadzić go w pole, to wybrała ku temu bardzo skuteczną metodę. Pragnął, żeby wszystko, co od niej usłyszał, było prawdą, nie mógł jednak zapomnieć, że po pierwsze pochodziła z rodziny Lancasterów, po drugie zaś - była kobietą. A skoro tak, to wcale niewykluczone, że pod płaszczykiem szczerości, uczciwości, brzydzenia się kłamstwem, zechce przeprowadzić jednak swoją misję. Nie wiedział dokładnie, jaka to może być misja, ale Lancasterowie z pewnością nie myślą o tym, żeby podarować mu samochód na urodziny.

Czy Juliet Hartfield mówi prawdę? Oto jest pytanie.

Ufał jej, dopóki nie postanowiła mu wyznaczyć - jak się wyraziła - „prawdy”. Wtedy, paradoksalnie, w jego serce wkradła się podejrzliwość. Jeśli zwodziła go wcześniej, to czy nie zwodzi i teraz, w bardziej wyrafinowany sposób?

Ale przecież tak żywo reagowała, gdy ją pięścił. Czy jednak Cynthia nie umiała po mistrzowsku udawać podniecenia, a nawet spełnienia? Dopiero później zdał sobie

sprawę, że jego żona spała z nim nie z miłości, lecz z wyrachowania.

Doprawdy, nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Pozwolił Juliet, żeby wróciła i przeszukała jego dom. Po co? Wierzył jej, czy też zależało mu na tym, żeby złapać ją na czymś nieuczciwym? Czy czułby wtedy satysfakcję?

Nie, na pewno nie. W jakiś sposób zależało mu na niej. Dopóki jednak nie przekona się, że Juliet ma czyste intencje, musi zachować wobec niej dystans. Takie pocałunki nie mogą się na razie powtórzyć.

No właśnie - na razie...

Wrócił do kuchni i zastał Juliet przy skrobaniu przypalonej patelni. Na nowo pokroiła plasterki szynki, roztrzepała jajka i usmażyła jajecznicę. Na drugim palniku ustawiła czajnik z wodą.

Grant stał w wejściu, przyglądając się, jak woda zaczyna się gotować. Uniósł czajnik, zalał rozsypaną do kubków rozpuszczalną kawę. Przez cały ten czas ani on, ani ona nie odezwali się do siebie żadnym słowem.

- Chyba znów powinniśmy zjeść w pokoju z kominem. Tam jest ciepiej - Juliet odezwała się pierwsza.

Grant skinął głową i poszedł za nią w milczeniu.

Usiedli naprzeciw siebie, po dwóch stronach stołu. Żadne nie jadło z apetytem. Żadne nie miało ochoty wrócić do przerwanej rozmowy. Zapadła niezręczna, głupia cisza, przerywana jedynie szcękaniem talerzy i sztućców. A przecież naprawdę mieli sobie niejedno do powiedzenia.

- Jak skończymy, mogłabym wziąć się za pracę.
- Nie musisz.

- Kiedy praca sprawia mi przyjemność.

- A która jej część największą?

- Hm, trudno powiedzieć. Lubię dotykać rzeczy, których kiedyś, wiele lat temu, używali inni ludzie. To takie dziwne uczucie. Może dlatego najbardziej lubię przedmioty codziennego użytku, takie łyżki, grzebienie czy dziecięce łóżeczka. Cieszę się też, kiedy odkrywam prawdziwe perły wśród stosu rupieci. Na przykład kiedyś na dnie starego pudła znalazłam stuletni mosiężny świecznik. Ktoś zamierzał wyrzucić go na śmieci, masz pojęcie?

Słuchał jej z przyjemnością. W głosie Juliet brzmiały teraz nie skrywane emocje, ekscytowała się swoją opowieścią, a on taką właśnie lubił ją najbardziej. Może cały czas powinni rozmawiać o starych świecznikach?

- Czy często ci się to zdarza?

- Naprawdę dosyć często. Kiedyś pomagałam krewnym sprzątać dom ich matki. Na strychu znalazłam kilka starych opravek od okularów. Miały zostać oddane do zwykłego antykwariatu i pójść na opłacenie bieżących rachunków. A pochodziły sprzed dwustu lat!

- Mogłaś im powiedzieć, że są bezwartościowe.

- Nie - uśmiechnęła się. - Ja nigdy tego nie robię.

Grant chciał wierzyć w jej słowa, choć sam nie wiedział, dlaczego. Czyżby naprawdę tak bardzo zależało mu na niej?

- Juliet?

- Tak?

- Kochałabyś się ze mną, gdybym nie przestał cię całować? - zapytał, całkowicie ją zaskakując. Prawdę mówiąc, i on był zaskoczony, że zadał właśnie to pytanie.

Na półkach Juliet wykwitły rumieńce.

- Nie zastanawiałam się wtedy, do czego może doprowadzić nasz pocałunek...

- Ach, tak. Często ci się to zdarza? - Wiedział, że nie powinien jej prowokować, że może czuć się urażona, a jednak zrobił to. Zrobił, bo chciał widzieć jej reakcję.

- Co? Kochać się czy całować?

- Być taka szybka i tak gorąca.

- Zazwyczaj najpierw myślę, potem dopiero się decyduję. To był wyjątek. Właśnie to chciałeś usłyszeć? A może coś przeciwnego? - zapytała ze spokojem, po czym wstała, wzięła swój talerz i wyszła.

Odczekał chwilę, po czym wyszedł za nią. Znalazł ją w kuchni.

- Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

- Owszem, chciałeś. Wiesz, Grant? Myślę, że naprawdę lepiej będzie, jeśli poszukasz nowego rzeczoznawcy.

Ona ma rację, pomyślał. Nigdy się przecież do niej nie przekona i wciąż będzie kłuł jej serce przykrymi słowami. To tajądactwo.

A może ostrożność, dodał od razu w myślach.

W każdym razie uśmiechnął się do niej, by złagodzić nieco wyrządzoną przykrość.

- Pewnie masz rację - powiedział. - Za dużo o sobie wiemy. Na razie jednak proponuję, żebyś wróciła do pokoju. Poczekaj w ciepłej na pomoc, może wreszcie odświeżą kiedyś te drogi. Ja muszę zająć się swoimi sprawami. Jest trochę napraw do zrobienia. - Uśmiechnął się jeszcze raz i wyszedł na korytarz.

W pierwszej kolejności postanowił zgromadzić we-

wnątrz trochę opału na zapas. Gdy wszedł do pokoju z narzędziami, Juliet wciąż siedziała sztywno na sofie. Obydwoje milczeli. Grant wrzucił drewno do kominka i patrzył, jak zajmuje je płomień. Kiedy ogień rozpalił się na dobre, poszedł do magazynku, chwycił szufłę i zaczął odgarniać śnieg ze schodów. Miał nadzieję, że wysiłek pomoże mu zapomnieć o Juliet, jednak nadzieje te były próżne. Cały czas miał przed oczami jej zaciętą minę i smutne - tak, naprawdę smutne! - oczy.

Pracował już czterdzieści minut, gdy nagle zimową ciszę przerwał odległy pomruk silnika. Kilka minut później zza zakrętu wyjechała niewielka ciężarówka z pługiem. Grant odwrócił się w jej kierunku i pomachał kierowcy.

- Myślałem, że nie dacie rady przejechać przez zaspę!
- zawołał, gdy pojazd zbliżył się do bramy.

Kierowca odkręcił okno i roześmiał się.

- Ja z kolei pomyślałem, że za ekstra usługę dostanę ekstra zapłatę.

- Spokojna głowa. Jak wyglądają drogi?

- Główne już odśnieżone.

Na ganku zjawiła się Juliet, zwabiona odgłosami rozmowy.

- Nareszcie - powiedziała, choć wcale nie była pewna, czy czuje się jak księżniczka, którą uwolnił właśnie z zamknięcia dobry książę w lśniącej zbroi. - Czy pomoże mi pan wyciągnąć samochód? - zwróciła się do kierowcy ciężarówki.

- Za pieniądze wszystko da się zrobić.

- Ja panu zapłatę - wtrącił Grant.

- Nie musisz - powiedziała Juliet.

- Jesteś moim gościem.

Spojrzeni na siebie, długo, wyczekująco, zupełnie jak gdyby każde z nich miało zamiar powiedzieć coś jeszcze albo zmienić zdanie, tymczasem kierowca wyskoczył z ciężarówki i wyjął kilka łopat.

Śnieg odgarniali we troje. W ciągu pół godziny udało się uwolnić zasypane auto. Juliet wróciła do domu, zabrała torebkę i otworzyła drzwi samochodu.

Grant czuł się podle. Miał teraz ochotę błagać ją, żeby została, był jednak pewien, że cokolwiek powie, ona i tak wyjedzie.

- Jedź ostrożnie. - Jedyne to udało mu się wykrztusić.

- Będę uważać.

- Zadzwon, jak dojedziesz do domu.

Spojrzała mu pytająco w oczy.

- Chciałbym wiedzieć, że bezpiecznie dojechałaś - dodał.

- W porządku. Jeśli usłyszysz dwa dzwonki, a potem ciszę, to będę ja.

Chciał zaprotestować, ale nie zdążył. Juliet odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do samochodu. Urucho-miła silnik, ruszyła z kopyta i... natychmiast wpadła w poślizg.

Zaraz jednak wyprowadziła samochód na prostą i po chwili zniknęła za zakrętem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia w mieszkaniu Juliet Hartfield telefon zadzwonił skoro świt.

- No i jak? Załatwiłaś, o co cię prosiłem?

- Nie, Larry.

- Jak to? Stchórzyłaś? Ty idiotko!

- Nie nadaję się na szpiega. Poza tym nie podzielam twojej opinii o Grancie Remingtonie. To miły człowiek.

Przynajmniej dopóki nie wstąpi w niego jakiś diabeł, dodała w myślach. Wciąż ten dziwny pobyt w domu Remingtonów był dla niej zagadką. Co w niego wstąpiło? Czy specjalnie przerwał tak brutalnie wspólne pieszczoty? Dlaczego stał się przykry i złośliwy? I dlaczego pozwolił, żeby wyjechała, skoro wcześniej twierdził, że chce ją u siebie zatrudnić?

Boi się zaangażować, jasne. Ale żeby do tego stopnia nie ufać ludziom?

- Postuchaj, Larry - odezwała się spokojnie - nie chcę już o tym rozmawiać. Nie prosz mnie więcej o takie przysługi - dodała i odłożyła słuchawkę.

Pięć minut później znowu zadzwonił telefon. Juliet odebrała dopiero po trzecim dzwonku.

- Juliet? Wiem, że nie powinienem był na ciebie wrzeszczeć - ze skrucną wyznął Larry.

- Tylko po to dzwonisz?
- Tak. Chcę cię przeprosić. Powinienem być wiedzieć, że jesteś bardzo wrażliwa.
- Przyjmuję przeprosiny.
- Skoro tak, to pomyślałem sobie, że może spróbujemy załatwić tę sprawę jakoś inaczej...

- Nie.

- Juliet...

Miała tego dość. Choć nie było to w jej zwyczaju, Juliet po raz kolejny odłożyła słuchawkę bez pożegnania.

Kiedy dwa dni później o podobnej porze odezwał się natarczywy dzwonek telefonu, była przekonana, że jej kuzyn nie zrezygnował i jeszcze raz będzie próbował nakłonić ją do zmiany decyzji.

- Nie odkładaj słuchawki - usłyszała i wiedziała już, że to nie Larry.

- Remington? - Serce zabiło jej mocniej. Nie chciała się do tego przyznać, ale czekała na telefon od niego.

- Nie odkładaj słuchawki, proszę - powtórzył z naciskiem.

- Dlaczego niby miałabym z tobą rozmawiać? Jest jakiś powód? O ile pamiętam, stanęło na tym, że bierzesz innego rzeczoznawcę.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało.

- Mi też. Coś jeszcze?

- Tak. Chcę się znów z tobą zobaczyć.

Zaskoczył ją tak wprost sformułowaną deklaracją.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Niemal od samego początku ich znajomości wystawiał ją na próby i upokarzał. Ona otwierała przed nim

serce, on ją ranił. Czy ma teraz zafundować sobie powtórkę?

- Wiem, masz prawo być na mnie zła. A jednak proszę... Proszę, żebyś poszła ze mną na bal walentynkowy.

Juliet zadrżała. Bal walentynkowy w towarzystwie Granta Remingtona? Powinna była zareagować złością, wykić jego zaproszenie, a jednak ucieszyła się w głębi duszy.

Dobrze, że on tego nie widział.

- W sobotę? - powiedziała cicho, choć przecież świetnie wiedziała, że walentynki przypadają właśnie w sobotę.

- Tak. Bal organizuje Light Street Foundation.

- Nie wiem - westchnęła, zupełnie jakby chciała, by Grant zaczął ją namawiać i przekonywać.

- Zgódź się, Juliet, proszę. Wiesz, od tamtej pory nie mogę przestać o tobie myśleć. Naprawdę. Może gdybyśmy spróbowali jeszcze raz... w normalnych warunkach...

- To co?

- To nie rozstalibyśmy się tak szybko.

- A co z rodzinnymi animozjami Lancasterów i Remingtonów?

- Nie widzę powodu, dlaczego miałyby dotyczyć również nas. Daj nam szansę, Juliet.

- Nie rozumiem dokładnie, o czym mówisz. Jaką szansę? Przecież prawie się nie znamy i...

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz, prawda? - przerwał jej.

Zamknęła oczy. Zbił ją z tropu. Powinna była zaprze-

czyć, odrzucić jego zaproszenie, a jednak... nie mogła tego zrobić. W jednej chwili podjęła odważną decyzję.

- Zgoda. Pójdę na ten bal - powiedziała obojętnym tonem. - Podobno w Light Street Foundation zawsze jest świetna zabawa.

- Doskonale! Przyjadę po ciebie o siódmej.

Pożegnał się szybko i zostawił ją samą ze sprzecznymi myślami. Rozum podpowiadał, że nie powinna była się zgodzić, serce nakłaniało, by przestać rozpamiętywać, co było, i zająć się praktyczniejszymi rzeczami - na przykład: jaką sukienkę założyć na tę okazję. Może powinna kupić sobie coś nowego, pięknego i romantycznego?

Następnego dnia zadzwonił Larry.

- Przemyślałem wszystko, co mówiłaś - zaczął łagodnie. - Być może masz rację co do Remingtona. Gdybym usiadł z nim przy piwie i porozmawiał w cztery oczy, pewnie zostalibyśmy nawet kumplami. Powiedziałbym mu wprost, które pamiątki rodzinne chcę odzyskać, a on być może by mi je odsprzedał. Co o tym myślisz?

- Naprawdę zmienić o nim zdanie?

- Po co chować urazy? Spokojnie i uczciwie więcej można osiągnąć. Słyszałem, że idziesz z nim na Walentynkowy bal...

- Skąd wiesz?

Roześmiał się.

- Mam swoich informatorów, Juliet. Pytam, bo zdaje mi się, że taki bal to świetna okazja na rozmowę na neutralnym gruncie, nie sądzisz?

Stropiła się. Nie bardzo chciała, żeby Larry popsuł

jej randkę z Grantem (tak właśnie zaczęła ostatnio myśleć o wspólnym wyjściu na bal) gadaniem o babkach, dziadkach, testamentach i spadkach.

- Może poczekajmy z tym, aż sama się zorientuje, jak mają się sprawy - zaproponowała.

- Nie. Opracowałem lepszy plan - powiedział z zadowolaniem. - Przyjdę na ten bal. Podejdę do niego i przedstawię się. To w końcu nic strasznego. Dam mu do zrozumienia, że nie jestem jego wrogiem, i umówię się z nim na spotkanie. Mam do ciebie tylko jedną prośbę - Larry odchrząknął - nie mów mu nic o moim planie. Chcę go zaskoczyć.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - I bez towarzysztwa kuzyna miała z Grantem wystarczająco dużo kłopotów.

- Zaufaj mi, Juliet. Zabiorę mu raptem kilka minut. Musisz mi tylko dać słowo, że nic wcześniej mu nie powiesz.

Juliet westchnęła. Miała nadzieję, że tym razem Larry nie wpuści jej w maliny.

- Dobrze. Masz moje słowo.

Całe popołudnie czternastego dnia lutego Juliet spędziła w salonie piękności. Fryzjerka upięła jej koronę z loków, a kosmetyczka zrobiła manicure i pomalowała paznokcie. Potem Juliet kupiła potrzebne kosmetyki i już w domu zaczęła mierzyć nową suknię, specjalnie wyszukaną na tę okazję w maleńkim butikku przy Charles Street.

Od czasu balu maturalnego nie zadała sobie tyle trudu, żeby przygotować się do jakiegokolwiek balu.

Około siódmej wieczorem zaczęła się denerwować.

Kiedy zaś usłyszała dzwonek do drzwi, dziko załomotało jej serce. Minął tydzień, odkąd ostatni raz widziała Granta. Przez cały ten czas przez jej głowę przewinęły się setki związanych z nim obaw i marzeń.

Otworzyła drzwi i wstrzymała oddech z zachwytem. W smokingu, muszce w kolorze burgunda i dobranym do niej pasie Grant nie był tym samym Grantem, którego widziała po raz pierwszy, gdy piłował drewno. Jego oczy również były inne niż wtedy - nie zimne i nieufne, lecz radosne i ciepłe.

- Pięknie wyglądasz - powiedział.

- Ty też.

Przekroczył próg, rozejrzał się dyskretnie, uśmiechnął niepewnie.

- Może tym razem pójdzie nam lepiej. - Spojrzał na nią z czułością. - Tęskniłem za tobą, Juliet.

- Ja... też.

Postąpił krok w jej stronę, położył delikatnie dłoń na jej plecach, a wtedy Juliet wyciągnęła do niego ramiona z westchnieniem radości i ulgi. Przez długą chwilę stali tak przytuleni, nie odzywając się do siebie.

Wreszcie Juliet roześmiała się cicho.

- Co się stało?

- Nic. Jestem szczęśliwa.

- Och, Juliet. Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy.

Boże, tak się bałem, że już cię nie zobaczę. Chodźmy

- musnął czubkiem nosa jej policzek - jeśli się nie pośpieszymy, spóźnimy się na otwarcie balu.

Pomógł jej nałożyć płaszcz i poprowadził do samochodu. Nie kryła zaskoczenia, kiedy zamiast starej fur-

gonetki zobaczyła elegancką limuzynę ze skórzanymi siedzeniami.

- Nie spodziewałam się tak luksusowego transportu.
- Jeśli można tak powiedzieć, to relikwiny mojego poprzedniego stylu życia. Nie używałam tego wozu od kilku miesięcy, ale przyznam, że dzisiaj jazda sprawiła mi wielką przyjemność.

- Ciesz się, że w ogóle zapalił.
- Jakoś się udało. Ale gdyby był taki mróz jak wtedy...

Od „wtedy” pogoda znacznie się poprawiła. Temperatura skoczyła w górę, powietrze było niemal wiosenne.

- To skazani bylibyśmy na furgonetkę? Nie szkodzi - powiedziała wesoło. - Nawet pan sobie nie wyobraża, panie Remington, jakie przygody przeżyłam w furgonetcie. Kiedyś przewożyliśmy z mamą stary kredens, który wygrzebałyśmy z jakiejś piwnicy. Tak śmierdział, że musieliśmy odkręcić wszystkie okna. W połowie drogi z jednej z szuflad wyskoczyła mysz i zaczęła biegać po kabinie. Mama z wrażenia niemal wpadła do rowu.

- A co ty zrobiłaś?
- Wrzeszczałam na całe gardło - odparła i ponownie się roześmiała. Grant również.

To, że po tygodniowej przerwie ich rozmowa była tak naturalna i swobodna, zdawało się cudem. Przecież rozstawali się w fatalnych nastrojach. Teraz Juliet tak dobrze czuła się w jego towarzystwie, że bała się zmieniać temat rozmowy na poważniejszy. Wreszcie jednak ciekawość wzięła górę.

- Pokazałeś listy Mike'owi Lancerowi? - spytała.

Grant zacisnął dłonie na kierownicy.

- Tak. Mike ma znajomego w FBI, który sprawdzi odcisków palców.

- Ale na listach są również nasze odciski!

- Przy odrobinie szczęścia znajdą się i inne.

- Mam nadzieję, że ten, kto jej wysłał, nie był na tyle ostrożny, by pisać w rękawiczkach.

- Myślisz, że to był mężczyzna?

- Nie wiem. Równie dobrze mogła być kobieta.

W każdym razie ktoś dość nierozważny, skoro zostawił po sobie dowód rzeczowy.

- Zobacz. Jesteśmy prawie na miejscu. - Grant wskazał jasno oświetloną willę na szczycie wzgórza. Wjechali na nie krętą drogą i zaparkowali w rzędzie innych samochodów.

Juliet czuła tremę. Wiedziała, że na balu spotka znajomych, którzy z uwagą będą patrzeć na Granta u jej boku. Może właśnie mu na tym zależy - żeby wszyscy myśleli, że są parą? Dlaczego jednak miałby tego chcieć?

Spojrzała na niego niepewnie. Podał jej ramię i mocno ją uściśnął dla dodania otuchy.

Uśmiechnięci gospodarze witali gości u wejścia. Dla potrzeb balu foyer przerobiono na oranżerię, w której ustawiono mnóstwo kwiatów. Pomiędzy kwiatami połykiwały czerwone serduszka z folii, a łuk nad wejściem zdobiły balony, również w kształcie serc. Juliet była zachwycona tą uroczą, choć lekko kiczowatą scenerią. Cóż, to właśnie cały urok tego święta...

Zostawili płaszcze w szatni i podeszli, by przywitać

się z gospodarzami. Ubrana w czerwoną suknię dama i jej siwowłósy partner uściskali ich serdecznie.

- Chciałabym cię uprzedzić - kobieta zwróciła się do Juliet - że...

Nie dokończyła zdania, gdyż podbiegł do nich z impetem przebrany za Supermana synek Erin (tak się przedstawiła gospodyni balu) i wymierzył w Juliet łuk z napiętą strzałą.

- Kenny postanowił przebrać się za Kupidyna - wyjaśniła matka chłopca. - Kiedy jednak zobaczył przygotowany dla niego kostium, zbuntował się i przebrał w ten.

- Bo w tamtym wyglądałem jak głupek! - krzyknął Kenny, odkładając broń. Skakanką, którą był przepasany, owiazał Juliet i pociągnął ją do siebie.

- Od tej chwili, moja droga, jesteś niewolnicą Kupidyna - z uśmiechem wyjaśniła Erin. -1 będziesz nią tak długo, aż ktoś pocałuje cię i złoży datek na rzecz fundacji.

Juliet nie chciała psuć zabawy, więc posłusznie dała się poprowadzić przez łuk z kwiatów ku obszernej sali, pełnej elegancko ubranych gości. Wśród nich dostrzegła wielu znajomych. Wszyscy z uwagą obserwowali towarzyszącego jej Granta.

- Wiedziałeś, że tak będzie? - szepnęła mu do ucha.

- Nie - odparł. - Część rozrywkowa miała być niespodzianką.

- Chyba wiem, dlaczego.

- No, chodź, niewolnico! - nakazał Kupidyn i pociągnął ją w tłum.

Juliet czuła się jak dziewczica, która za chwilę zostanie

złożona bogom w ofierze. Spoglądając na twarze zgromadzonych na sali mężczyzn i kobiet, domyśliła się, że większość z nich przeszła już podobny rytuał, i to pocieszyło ją nieco. Żałowała tylko, że nie przyjechali tu wcześniej, kiedy nie było jeszcze tylu ludzi i ta swego rodzaju inicjacja była z pewnością znacznie mniej krępująca.

Tymczasem Kupidyn posadził ją na honorowym podwyższeniu pod łukiem z czerwonych róż i zablokował zejście przystrojoną girlandami bramką.

Teraz czuła na sobie spojrzenia wszystkich gości. Niedługo to jednak trwało, bowiem po chwili na podwyższenie wskoczył Grant i ukrył ją przed wzrokiem ciekawskich.

- Przepraszam cię za to - wyszeptał jej do ucha.
- To nie twoja wina.
- Zaprosiłem cię tutaj i czuję się za ciebie odpowiedzialny. Naprawdę nie miałem pojęcia, że spotka nas taki cyrk.
- Martwi cię to?
- Ani trochę. Mamy okazję, żeby pokazać wszystkim, że jesteśmy idealną parą.

Spojrzała na niego spod długich rzęs, on zaś uśmiechnął się do niej, pocałował lekko i wziął ją w ramiona.

Na sali rozległy się głośne oklaski i triumfalne dźwięki orkiestry. Juliet jednak niemal ich nie słyszała, bowiem w następnej sekundzie Grant pocałował ją ponownie, tym razem znacznie namiętniej.

Zamknęła oczy, nie wiedziała, gdzie jest i dokąd niesie ją ta potężna fala niespodziewanej rozkoszy. Grant

przyciskał ją do siebie, szeptał coś, czego nie rozumiała, ale Juliet nie musiała już ani pytać, ani rozumieć. Wiedziała jedno - tylko z tym mężczyzną będzie tańczyć na walentynkowym balu. Tym i każdym następnym.

Gdy otworzyła oczy, salę wypełniał wciąż potężny huk oklasków i gwizdów. Grant mrugnął do niej na znak, że tak jak i ona zagubił się w tym pocałunku. Otaczał ich tłum ludzi, oni zaś czuli się, jakby byli tylko we dwoje.

- To pocałunek wart pięćset dolarów! - zawołał jakiś mężczyzna.

- Na pewno stopili nim cały śnieg sprzed tygodnia!
- zauważył ktoś inny.

Grant odsunął barierkę, uwalniając Juliet z celi Kupidyna, lecz nie wypuścił jej ze swoich ramion. Podszedł do stołu, wyciągnął książeczkę czekową i wypisał na jednym z czeków sumę, od której Juliet zakręciło się w głowie. Tymczasem goście oklaskiwali już kolejną całującą się parę.

- Żaden pocałunek nie jest wart tyle pieniędzy - szepnęła mu do ucha, kiedy chował książeczkę do kieszeni.

- Są takie, na które nie można żałować - odparł.

Juliet spojrzała mu w oczy, wstrzymała oddech. Przez chwilę stali nieruchomo, przyglądając się sobie z miłośnym oszołomieniem. Potem orkiestra zaczęła grać romantyczną balladę, więc Grant natychmiast ujął dłoń Juliet i poprowadził ją na parkiet.

- Wybacz, z tą moją nogą nie jestem w stanie tańczyć nic bardziej skomplikowanego.

- Nie szkodzi. Co właściwie z nią się stało?

Grant zawahał się.

- W domu, który budowałem, zawaliły się schody.

A ja wraz z nimi.

Zmarszczyła czoło z z troskaniem.

- Mogłeś się...

- Nie martw się - przerwał jej Grant. - Czuję się doskonale. Terapeuta pociesza mnie, że prawie nie będę kulat.

- Kiedy to się stało?

- Cztery miesiące temu.

Juliet skojarzyła tę datę z datą śmierci jego matki. Nie-
szczęścia chodzą parami, pomyślała i przytuliła się do
Granta mocniej. Gdyby coś mu się wtedy stało, nie po-
znałaby go pewnie. To straszne.

Tak, znali się bardzo krótko, ale teraz przestało to mieć
dla niej znaczenie. Ważne było to, co przeczuwała jedynie
sercem od początku, gdy tylko go zobaczyła, a co zaczęła
świadomie czuć dzisiaj, kiedy czekała na niego wieczor-
em, kiedy ujrzała go na progu i kiedy poczuła na ustach
smak jego ust.

To mogło się zdarzyć tylko na filmie, myślała. Albo
na walentynkowym balu, dodała od razu i uśmiechnęła
się do siebie. On ją całował na oczach tłumy, a ona trwała
w jakimś słodkim uśpieniu, wsłuchana w każde porusze-
nie własnych zmysłów. Teraz zresztą było podobnie.
Choć na parkiecie był tłok, ona widziała i czuła tylko
jego, Granta Remingtona. Czyżby święty Walenty rze-
czywiście uprosił dla niej u Boga szczególne względy?

Grant prowadził ją pewnie. Czuła, że w tańcu powoli,
lecz zdecydowanie usuwają się na bok. Ufała mu bez-
granicznie. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, zorientowała
się, że stoją w ustronnej wnęce pod schodami.

- Przyjazd tutaj był błędem - powiedział.
- Chodzi ci o ten okup, który musiałeś za mnie zapłacić?
- Nie. O to, że musieliśmy całować się przed tłumem widzów.

Juliet podniosła głowę.

- Więc chodźmy stąd - rzuciła, patrząc mu śmiało w oczy.

Jego źrenice się rozszerzyły.

- Chcesz? A dokąd?
- Dokąd zechcesz.

Była zaskoczona własną śmiałością. Nigdy dotąd nie zachowywała się tak w towarzystwie mężczyzn.

Grant splótł swoje palce z palcami Juliet. Poczwała na plecach dreszcz rozkoszy. Chwilę potem przeciskali się do wyjścia przez tłum gości. Jak w kalejdoskopie przesuwały się przed jej oczami kolejne twarze; niektóre przyglądały się im wymownie, lecz już jej to nie peszyło.

Nagle przypomniała sobie o Lanym i zatrzymała się gwałtownie.

- Zaczekaj...
- Jednak chcesz zostać? Znamy się od tak niedawna, to chciałaś powiedzieć, prawda?
- Nie. Mam wrażenie, że znamy się od wieków. Sta-
nęłam, bo przypomniałam sobie, że miałam spotkać się tutaj z pewną osobą... Widzę jednak, że jej nie ma.

Skoro Larry nie zjawił się na przyjęciu, to pewnie zmienił zdanie i uznał, że porozmawia z Grantem w innych okolicznościach, pomyślała i dodała zaraz:

- Nie zmieniałam zdania. Idziemy.

Grant bez słowa pobiegł po płaszcze.

- Już wychodźcie? - zapytała Erin u wyjścia.

- Przyjęcie jest cudowne - zaczęła Juliet - ale...

- Nie musisz tłumaczyć - roześmiała się Erin. - Widzę, że nasz Kupido celnie strzela.

- Trochę nam głupio. Dopiero się zaczęło.

- Daj spokój, moja droga. - Erin machnęła ręką. -

W końcu od czego są te walentynkowe bale? Cieszę się,

że daliście wspaniały wzór moim gościom. A poza tym

- schyliła się do ucha Juliet - od jakiegoś czasu mar-

twiłam się o Granta. Po śmierci matki i rozwodzie bardzo się zmienił. Wygląda na to, że odmienił jego życie.

- Mam taką nadzieję - szepnęła Juliet i uśmiechnęła się do gospodyni.

- Powodzenia. No, zmykajcie! - dodała już głośno i puściła oko do Granta.

Niestety, nie udało im się opuścić przyjęcia niepostrzeżenie. Towarzystwo najwyraźniej uznało ich za najbardziej całusną parę balu i nie mogło odmówić sobie burzliwych oklasków, gwizdów i pokrzykiwań na ich cześć. W takim to właśnie akompaniamencie schodzili po schodach i przedzierali się między samochodami do swojego auta.

Kiedy znaleźli się w środku, Grant zwrócił twarz w stronę Juliet.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nie uknułem tego wcześniej. Nie mam przygotowanych żadnych podstępnych planów na wieczór. Będę wniebowzięty, nawet jeśli skończymy w kawiarni na filiżance małej czarnej. Po prostu zapragnąłem być nagle tylko z tobą.

- Zgoda. Najpierw wypijemy kawę... A potem zobaczymy.

Grant ścisnął jej dłoń.

- Zobaczymy. Co tylko zechcesz.

Ruszyli. Za pierwszym zakrętem zaczęły się kłopoty. Grant wziął go za szybko i wpadł w lekki poślizg. Zamiast przyhamować zjeżdżali stromą uliczką coraz szybciej. Juliet spojrzała na Granta z niepokojem. Był blady. Wcisnął hamulec, lecz samochód nie reagował.

- Grant?

Jeszcze raz nadepnął z całych sił pedał hamulca i zaklął, kiedy znów nie przyniosło to skutku. Na kolejnym zakręcie znów wpadli w poślizg. Grant szarpnął kierownicą. Udało się. Znów jechali po prostej. Tyle że coraz szybciej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Juliet z przerażeniem patrzyła na umykającą przed nimi śliską jezdnię. Droga była wąska, kręta i zniszczona. Nie było tu ani słupków, ani barierek, które chroniłyby przed stoczeniem się w przepaść, a skały po drugiej stronie uniemożliwiały ucieczkę.

Na następnym zakręcie znów stracili na moment przy czepność. Grant odbił gwałtownie w bok i Juliet rzuciło z całej siły na drzwi. Zaciśnęła zęby z bólu. Tak bardzo jednak się bała, że nawet nie krzyknęła.

- Trzymaj się! - wrzasnęła do niej. - Muszę jakoś wyhamować. Przysuń się do mnie... Otrzymy się o skały.

Po chwili samochód z chrzęstem przykleił się do skał. Huk był potworny, na szczęście jednak udało się wytracić nieco prędkość.

- Wszystko w porządku? - Grant odwrócił na moment głowę w jej stronę.

- Tak — odparła słabym głosem. Bała się huku, bała się skał, wiedziała jednak, że nie mają innego wyjścia. Jeszcze bardziej bała się spaść w przepaść. A samochód znowu zaczął przyśpieszać...

Grant jeszcze raz szarpnął kołem kierownicy, znów otarli się z przeraźliwym zgrzytem o skalistą ścianę, bezlitośnie masakrując bok limuzyny. I jeszcze raz się udało.

Kiedy wreszcie wyjechali na mniej stromy, prosty odcinek wiodący przez las, Juliet zaczerpnęła gwałtownie powietrze. Do tej pory wstrzymywała oddech ze strachu.

Tu było już bezpieczniej, wciąż jednak pędzili zbyt szybko i wciąż nie było pobocza, gdzie mogliby próbować się zatrzymać. Dojechali do wjazdu na autostradę, przemknęli obok znaku STOP i z impetem wpadli na szeroką jezdnię. Całe szczęście była pusta.

Grant kolejny raz skręcił gwałtownie, wjechał na kręty zjazd z autostrady, a Juliet zacisnęła powieki, przekonana, że tym razem nie uda im się uniknąć wypadku.

Zapiszczały opony, coś huknęło potężnie w i tak pojętą już blachę, samochód podskoczył na wyboju i... zaczął zwalniać.

Otworzyła oczy. Jechali, trzęsąc się niemiłosiernie na nierównościach, przez grząskie pole. W końcu uderzyli w jakąś zwaloną kłodę i stanęli w miejscu.

Grant zamknął oczy i opadł bezwładnie na fotel. Na zewnątrz panowała absolutna cisza.

- Dzięki ci, Boże... - szepnęła Juliet.
- Już widziałem, jak lecimy w przepaść. - Przynął się do niej i mocno ścisnął jej dłoń. - Nic ci nie jest?
- Nic. Dzięki tobie.
- Wyjdźmy na zewnątrz.

Odpiął pasy, otworzył drzwi i wysiadł, a potem pomógł jej precyzyjnie się do wyjścia, bowiem drzwi od strony Juliet były całkowicie zmiażdżone. Widziała jego sprawne ruchy, słuchała posłusznie poleceń, lecz na wszystko, co robiła, patrzyła jakby z boku.

To szok, myślała z otępieniem, jestem w szoku.

Dopiero teraz zaczęła trząść się ze strachu. Objął ją, przytulił i poprowadził powoli wzdłuż drogi, na końcu której majaczyły niktłe światła.

- Po drodze widziałem chyba jakieś domostwo...

Kiedy minęli zakręt, dostrzegła w odległości kilkuset metrów nieliczne zabudowania.

- To tam! - Grant przyspieszył kroku.

Doholował ją do białego, rozpadającego się domku.

Odczytał napis na płocie: „U Sadlerowej. Noclegi, śniadania”. Poprowadził Juliet po schodach do wejścia.

- Co my robimy? Gdzie jesteśmy? Grant... - Szarpnęła się, jakby nagle czymś wystraszona.

- Ciii... Spokojnie. Wchodzimy do domu. Mieliśmy wypadek. Jesteś wciąż w szoku.

- Tak, wiem... Wypadek...

Grant zadzwonił do drzwi. Po chwili pojawiła się w nich siwowłosa kobieta, która zdziwionym wzrokiem obrzuciła dwójkę ludzi w balowych strojach.

- Czy możemy wejść? Mieliśmy wypadek.

- Ojej! Tak, oczywiście - przytaknęła z przejęciem.

- Czy mam wezwać lekarza albo policję?

- Nie trzeba. Po prostu wysiadły nam hamulce. Samochód stoi w polu, jakiś kilometr stąd.

Kobieta zaprowadziła ich pośpiesznie do przytulnego holu i usadziła na wygodnej sofie.

- Może chce się pani położyć? - spytała zatroskana, widząc nieprzytomne spojrzenie Juliet.

- Tak. To dobry pomysł - odpowiedział za nią Grant.

- Musi dojść do siebie po tym wszystkim. Byliśmy na

balu walentynkowym, wracaliśmy właśnie do domu. Czy moglibyśmy tu przenocować, a jutro wezwać pomoc?

- Oczywiście, proszę uprzejmie. Mam kilka pokoiów, każdy z własną łazienką. A tak przy okazji, nazywam się Sadler.

- Grant Remington, a to... Juliet.

- Dobrze, panie Remington. Proszę wpisać się do książki, a ja zaprowadzę panią Remington do pokoju.

Pani Remington? Juliet od razu zbudziła się z letargu.

Ta kobieta powiedziała o niej „pani Remington”, a Grant nie zaprzeczył!

Pewnie nie chce nadszarpnąć jej reputacji.

Bo przecież będą tu spać. Razem...

Razem? Boże jedyny...!

Pani Sadler zaprowadziła ją do przytulnego pokoju na piętrze z dwoma podwójnymi łóżkami. A więc dwa łóżka? Widocznie poprosił o nie Grant.

Juliet cierpliwie zaczekała, aż gospodyni wyjaśni jej zasadę obsługi kaloryfera, a kiedy wreszcie została sama, opadła bez sił na jedno z łóżek.

Wkrótce do pokoju dotarł Grant.

- Dlaczego tu zostajemy? - zapytała od razu.

- Bo tu jest bezpieczniej.

- Bezpieczniej niż gdzie?

- Bezpieczniej niż w mieście - odparł. - Ostatnio w mojej rodzinie zdarzyło się zbyt wiele tajemniczych wypadków. Zaczynam podejrzewać, że to nie musi być przypadek. Cholera jasna - uderzył otwartą dłońią w materac - naprawdę myślę, że ktoś przyłożył rękę do tych hamulców.

- Myślisz, że ktoś chciał...?

- A dlaczego niby hamulce wysiadły na samym szczycie wzgórza? - zapytał. - Oczywiście, nie będę pewien, dopóki wozu nie obejrzy mechanik. Wiem tylko, że awaria hamulców to w wozach tej klasy rzadkość. Najgorsze, że ciebie wystawiłem na takie niebezpieczeństwo.

Juliet ze wzruszeniem dostrzegła niekłamana troskę w jego oczach. Wyciągnęła do Granta dłoń, lecz on nie ruszył się z miejsca. Wtedy wstała, podeszła do niego i wtuliła twarz w jego tors. Był silny, twardy, muskularny. Dopiero teraz poczuła się naprawdę bezpieczna.

Zamknęła oczy i powolnym ruchem zaczęła głaskać dłońią jego pierś.

- Juliet... nie rób tego - poprosił zduszonym głosem.

- Dlaczego?

- Bo nie możemy się angażować... Bo powinniśmy uważać... Ty powinnaś. Moje towarzystwo nie jest jak widać bezpieczne. Tego wieczora o tym zapomniałem i to był błąd.

- Nieprawda! - Juliet gwałtownie podniosła twarz. - Dowiemy się przecież, kto to zrobił.

- Ale do tego czasu nie jesteś przy mnie bezpieczna.

- Mówiłeś, że chcesz być dzisiaj tylko ze mną.

- Już nie liczy się to, czego chciałem.

Ujął ją za ramiona i chciał odsunąć od siebie, jednak Juliet przywarła tylko mocniej do niego.

- Juliet?

- Mhm? - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Nie myśl, że czekam tylko, żeby wykorzystać tę okazję.

- Nie posądzam cię o to. - Zmysłowo zakotłosała biodrami. - To ja ciebie kuszę, kotku...

Podąła mu usta, a on sięgnął po nie z westchnieniem.

A więc wygrała, uległ jej i zatracił się zupełnie w gorączce rozpalonych zmysłów. Wsunął dłoń w jej włosy, całował ją zachłannie, mruzczał z rozkoszy i z radosnym zdziwieniem rejestrował kolejne fakty świadczące o jego kapitulacji - oto Juliet rozpina jego marynarkę, zrywa z niego koszulę, zaciska palce na szerokich plecach. Chwilę potem oderwała się od niego, spojrzała jakby z wyzwaniem w jego zamglone oczy i zaczęła powolnym ruchem rozpinać zamek swojej sukni.

- Boże, ale ty jesteś piękna... - szepnęła z zachwytem, gdy została w samej tylko jedwabnej bieliźnie.

Podszedł i niczym zauroczony dotknął wierzchem dłoni jej przysłoniętych stanikiem piersi; zupełnie jakby bał się, że ta przepiękna kobieta jest jedynie zjawą i za chwilę zniknie pod jego dotykiem.

- Twoja kolej, Grant... - szepnęła słodko.

Jęknął i zerwał resztki ubrania, najpierw z siebie, potem z niej. Nie mogli dłużej czekać. Oboje chcieli jak najprędzej być nadzy i jak najprędzej poczuć swe rozpalone ciała.

Gdy tylko się zetknęły, przestało liczyć się wszystko wokół. Grant gwałtownym ruchem odsunął narzutę na jednym z łóżek i ułożył Juliet na pościeli. Otworzyła ramiona, a on skorzystał z tego zaproszenia i z jękiem zdumienia, rozkoszy i ulgi zagłębił się w ten cudowny świat, w którym liczy się tylko miłość.

Juliet czuła w całym ciele radosne pulsowanie. Równy

rytm tłoczył w jej żyły rozkosz, dawka za dawką, a każdą komórkę jej ciała wypełniała zniewalająca słodycz. W końcu sama była jedynie rytmem, pulsowaniem, równym odmierzaniem kolejnych wzlotów ku ostatecznemu spełnieniu. To ostatnie uniosło ją ku wyżynom, na których jeszcze nie była, wystrzeliło w górę i ostatecznie odebrało jej świadomość.

Kiedy później leżała w jego ramionach, była pewna, że ta noc na zawsze odmieni jej życie.

Chciała powiedzieć o tym Grantowi, uznała jednak, że to skłoni go być może do wyznań, na które nie jest jeszcze gotowy. Dlatego też przytuliła się tylko do niego i zamknęła oczy w oczekiwaniu na sen.

- Śpij - usłyszała, jak wyszeptał jej do ucha.

Otworzyła oczy, gdyż Grant poruszył się tak, jakby miał zamiar opuścić łóżko.

- Dokąd idziesz? - zapytała sennie. Spojrzała przez okno: dopiero świtało.

- Muszę pojechać do miasta.

Juliet natychmiast usiadła i naciągnęła na siebie kołdrę. Spojrzała na niego z niepokojem. Czyżby chciał wyjechać stąd sam, bez niej?

Grant odczytał te myśli z jej twarzy i przytulił Juliet do siebie.

- Chcę, żebyś tu została - wyjaśnił łagodnie - bo najpierw muszę sam się dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się wczoraj wieczorem.

- Chciałeś, żebym się nie zbudziła i dopiero rano odkryła, że ciebie nie ma?

- Daj spokój. Miałem zostawić wiadomość na kartce. Uznałem, że tu będziesz całkowicie bezpieczna, a ja nie będę musiał się martwić.

Juliet westchnęła. Rozumiała go, a jednak było jej przykro, że gdyby nie zbudziła się teraz, zastałaby po nim tylko krótki list na stole. Czy gdyby tak się stało, nie zraziłaby się do niego na zawsze?

- W razie czego... Gdzie będzie można cię szukać?

- U Mike'a Lancera. Wyjeżdżam zaraz. Zapłaciłam pani Sadler, żeby pożyczyła mi samochód.

Podeszła do niego i ustami musnęła jego nagie ramię.

- Jest tak wcześnie. Musisz już jechać?

- Znowu mnie kuszysz?

- Aż tak to widać?

- Ja widzę.

- Przytul mnie chociaż...

Przysunął się bliżej i wziął ją w ramiona. Czują, że znów jest napięty i gotowy do miłości. Wziął w dłoń jej twarz i pocałował ją długo, czule, delikatnie jak wytrawny kochanek. Zadrżał, gdy przesunęła dłońią po jego pośladkach, zaraz jednak odsunął się od niej ze smutnym uśmiechem.

- Muszę iść.

- Weź mnie ze sobą.

- Chcę być pewien, że będziesz bezpieczna. Zostań.

- Dotknął palcem jej policzka i powtórzył: - Zostań, Juliet. Połóż się jeszcze. Za kilka godzin do ciebie zadzwonię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Juliet przycisnęła pięść do ust, zamknęła z całych sił powieki, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Jej romans z Grantem przypominał jazdę diabelskim młynem - raz wjeżdżała na górę, odczuwając podniecenie i radość, lecz zaraz potem spadała w dół i ogarniał ją beżmierny smutek.

Owinęła się szczelnie kołdrą, jakby chcąc zatrzymać jak najdłużej ciepło, które zostawił po sobie Grant. Chciała usnąć, by nie myśleć o wszystkim, co się stało i co jeszcze miało się stać, jednak sen nie przychodził. Do głowy tłoczyły się jej zapamiętane słowa, odczucia, zdarzenia. Niemało ich było jak na niecałe dwa tygodnie, odkąd pierwszy raz usłyszała nazwisko Grant Remington.

I pomyśleć, że poznała go tylko dzięki Larry'emu, który wystąpił na przeszpiegi.

Ano właśnie - Larry. Dlaczego nie zjawił się na przyjęciu? Przecież miał przyjść, mówił, że to dla niego takie ważne, prosił ją, by milczała na temat jego planów. I nie przyszedł. Po co mu było to wszystko?

Czyżby nie mógł przyjść?

Tknięta złym przeczuciem, sięgnęła po telefon i wykręciła numer kuzyna. Odebrał słuchawkę po drugim dzwonku.

- Juliet? To ty? - spytał zmienionym głosem. Miał prawo być zaspany, w końcu dopiero świtało, jednak niezwykła barwa jego głosu zdradzała chyba także zakłopotanie.

- Nie spodziewałeś się mojego telefonu?

- Nie sądziłem, że... - zamilkł nagle. - Jest jeszcze noc.

- Nie sądziłeś, że co? - zapytała z naciskiem.

Larry zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Że jesteś zdrowa i cała - odparł gładko. - Słyszałem, że Grant rozwalił wczoraj swojego mercedesa.

Po plecach Juliet przebiegł zimny dreszcz. Skąd Larry mógł wiedzieć o tym wypadku? Przecież nie wiedział o nim nikt oprócz jej, Granta, a w niedalekiej przyszłości Mike'a Lancera.

I tego, kto uszkodził hamulce!

- Skąd masz takie informacje?

- Coś tam słyszałem. Cieszę się, że nic ci nie jest.

- Jemu też nic się nie stało.

- Mieliście cholerne szczęście - roześmiał się nerwowo. - I dzięki Bogu. Czy Remington jest teraz z tobą? Gdzieście, u licha, wylądowali?

To pytanie przyspieszyło tylko bicie jej serca.

- Postuchaj, Larry. Muszę już kończyć. Porozmawiamy później, dobrze? Do widzenia - pożegnała się i opuściła słuchawkę na widełki.

A więc to Larry!

Nie miała na to żadnych dowodów, jednak mogłaby iść o zakład, że to jej kuzyn chciał zabić Granta Remingtona. Nienawidził go, sam się do tego przyznawał. Posłał ją do niego na przeszpiegi. Upewniał się, czy na pewno

pojawi się na balu. Chciał zemścić się na Remingtonach i jako ofiarę wybrał ostatniego ich potomka. Postanowił go zabić i z pewnością nie zrezygnował ze swego zamiaru. „Gdzieście, u licha, wyładowali?” - tak właśnie zapytał.

Całe szczęście, że nic mu nie powiedziałam, pomyślała z satysfakcją, lecz zaraz potem wstrząsnęła nią trwoga.

Larry łatwo mógł się dowiedzieć, skąd dzwoniła. Wyświetlacz jego telefonu wyświetlał i rejestrował numery dzwoniących do niego osób, pamiętała to doskonale.

Musi jak najprędzej ostrzec Granta, powiedzieć mu o swoich domysłach, zapytać, co powinna robić. Wystukała szybko numer do Mike'a Lancaster, jednak po drugiej stronie odezwała się tylko automatyczna sekretarka. Jedynie, co mogła uczynić, to zostawić informację i mieć nadzieję, że nie będzie za późno.

- Mike, tu mówi Juliet Hartfield. Powiedz Grantowi Remingtonowi, że według mnie to mój kuzyn próbował wczoraj go zabić, nazywa się Larry Lancaster. Grant wybierał się do ciebie dziś rano. Powiedz mu, żeby był ostrożny. Proszę, niech na siebie uważa.

Odłożyła słuchawkę i wyskoczyła z łózka. Nie miała teraz czasu do stracenia. Zostawiła porzuconą poprzedniego dnia balową suknię, ciaśniej owinęła się szlafrokiem, po czym zbiegła na dół do kuchni.

Gospodyni piekła akurat pączki.

- Mam nadzieję, że się pani wyspała - powitała ją z uśmiechem. - Lepiej już pani, pani Remington?

- Tak - przytaknęła Juliet - dziękuję. Mój... mój mąż powiedział mi, że pożyczył od pani samochód.

- To prawda. A pani ma cały dzień spędzić w moim pensjonacie. Tak ustaliliśmy.

- No właśnie, taki był pierwotny plan, ale przypomniało mi się, że mam bardzo ważne spotkanie w mieście. Muszę się jakoś stąd wydostać. Jak mogłabym dojechać do Baltimore? I... czy mogłabym pożyczyć od pani coś do ubrania? Wiem, że to wszystko jest trochę zwariowane, ale...

- Miała pani zostać tutaj - przerwała jej pani Sadler i podejrzliwie zmarszczyła brwi.

- Miałam. Ale nie mogę - z desperacją w głosie odparła Juliet.

- Hm, mąż uprzedził mnie, że może pani chcieć się przebrać. Mogę pożyczyć pani jakieś ubrania mojej siostry.

- Cudownie! Ale i tak potrzebuję jakiegoś transportu. Niech mi pani pomoże. Bardzo proszę. To naprawdę niezwykle ważna sprawa.

- Ojej, wszystko to rzeczywiście jest dość dziwne - westchnęła gospodyni. - Czy macie państwo jakieś problemy?

Juliet przytaknęła. Miała nadzieję, że zachęci tym kobiety do współpracy.

- Mamy. Ktoś interesuje się moim mężem. A ja przypomniałam sobie, że mam mu coś ważnego do powiedzenia w tej sprawie.

Pani Sadler nie zadowolona chyba ta zbyt ogólna odpowiedź, pokręciła jednak tylko głową, westchnęła i powiedziała:

- Zdaje się, że Jimmy Lewis pracuje w Baltimore.

Wyjeżdża rano, ale jeśli się pani pośpieszy, jeszcze go pani złapie.

- Dziękuję, pani Sadler! Będę pani wdzięczna do końca życia! - zakrzyknęła Juliet z entuzjazmem. - Gdzie są te ubrania?

Półtorej godziny później stała już przed drzwiami biura Mike'a Lancera. Pod płaszczem miała wytarte dżinsy i flanelową koszulę, na nogach za małe tenisówki. Najważniejsze jednak było to, że tu jest.

Zapukała energicznie, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Mike siedział za biurkiem, Grant stał przy oknie. Na jego widok Juliet odetchnęła z ulgą. Całą drogę do miasta zastanawiała się, czy Larry jej nie uprzedzi.

- Muszę porozmawiać z Grantem sam na sam - zwróciła się do Mike'a bez powitania.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Zostawisz nas na kilka minut, Mike?

- Będę na dole. - Detektyw skinął głową. - Zamówię sobie kawę.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Juliet popędziła z radością do Granta. Tak się cieszyła, że znów go widzi, że chciała rzucić mu się w ramiona, jednak jego surowe spojrzenie zatrzymało ją w pół kroku.

- Grant? Przyjechałam, żeby ci coś powiedzieć...

- Wiem. Odebrałem twoją wiadomość. Mike już wcześniej był pewien, że to twój kuzyn próbował mnie wczoraj zabić - zawiesił głos, spojrzał jej prosto w oczy i dokończył: - I że to ty mu pomagałaś. To dzięki tobie wiedział o tym balu.

Juliet nie wierzyła własnym uszom. Chciała coś po-

wiedzieć, była jednak tak wstrząśnięta tym, co usłyszała, że zdołała jedynie pokręcić głową w bezradnym milczeniu.

- Larry zachował się wczoraj jak prawdziwy zawodowiec - mówi tymczasem Grant, zupełnie jakby czerpał jakąś sadystyczną przyjemność z jej zmieszania i przerażenia. - Wczoraj widziano go na przyjęciu, ale szybko wyszedł. Wyjechał zaraz po tym, jak spuścił mi płyn hamulcowy. Wiedział, że nie powinien rzucać się w oczy. W gruncie rzeczy to jednak amator. - Podszedł do niej bliżej i uśmiechnął się krzywo. - Na listach, które wysyłał do mamy, zostawił odciski palców. Wiedziałaś o nich, prawda?

Pod Juliet ugięły się kolana.

- Grant... - wykrztusiła z siebie. - To nieprawda.

Musisz mi uwierzyć... Ja o tym nie wiedziałam!

- Nie? Więc po co dzwoniłaś rano do Larry'ego?

- Ja... Zaczęłam się zastanawiać, coś podejrzewać...

Dlatego zadzwoniłam... Bałam się o ciebie - szepnęła bliska płaczu.

- Nie, Juliet - pokręcił głową - zadzwoniłaś, żeby ustalić wspólny scenariusz. Teraz możesz być już szczerą, więc powiedz: zapłacił ci, żebyś mnie śledziła, czy robiłaś to bezinteresownie, w imię rodzinnego honoru? Chciałaś wziąć odwet na Remingtonach, prawda?

- On mnie oszukał... - Spojrzała na niego błagalnie. Tak chciała, żeby jej uwierzył. - Od początku oszukiwał. Opowiadał o tobie niestworzone historie, o twojej firmie, o twoim życiu... A kiedy zorientowałam się, że to bzdury, i powiedziałam mu, że nie chcę być szpiegiem, on

znów mnie okłamał. Mówił, że chce z tobą uczciwie porozmawiać, dopytywał o bal... Nie pozwolił mi cię uprzedzić, bo twierdził, że jeśli się dowiesz o jego planach, to nie zgodzisz się na rozmowę.

Grant parsknął.

- Boże, czy wy wszyscy jesteście nienormalni? Czy sądzicie, że nie mam większych zmartwień niż jakieś tam rodzinne zaszłości?

- Oczywiście, że nie! Rodzinne porachunki to obsesja Larry'ego, nie twoja. Przecież cię znam, Grant. Znam cię i ty znasz mnie. - Wyciągnęła do niego rękę. - Naprawdę nie miałam o niczym pojęcia. Przysięgam. Musisz mi uwierzyć. Przecież p mały włos mnie też by zabił.

- No właśnie. - Grant zacisnął pięści. - To jest chyba najgorsze. Uznał, że jesteś już mu zbędna, i położył na tobie krzyżyk. Widzisz, sama jesteś sobie winna, że miałaś za współnika szaleńca i idiotę.

- Nie! - jeszcze raz krzyknęła Juliet.

- Tak - powiedział beznamiętnie. - Poprosił cię, żebyś mnie uwiodła, bo chciał, żebyśmy stał się mniej czujny, prawda? A może to był twój pomysł?

Juliet popatrzyła tylko na niego z wyrzutem. Nic więcej nie mogła zrobić. Przed sobą miała ścianę, której nie były w stanie przebić żadne argumenty. Ból, rozpacz i wściekłość, które czuła do tej pory, ustąpiły miejsca zwątpieniu i rezygnacji.

- Ani jedno, ani drugie, Grant - powiedziała spokojnym głosem, który zabrzmiał wyjątkowo donośnie w tym cichym pokoju. - Zakochałam się w tobie, to cały sekret.

Grant roześmiał się nerwowo.

- Czas skończyć z tymi bajeczkami, Juliet. Powtórzysz to pewnie jeszcze nie raz przed policją, więc oszczędź mi i sobie słuchania podobnych bzdur.

Wciąż był twardy, zimny i nieustępliwy, chociaż po tych słowach odwrócił wzrok, jakby bał się, że nie wytrzyma jej spojrzenia. Pomyślała, że może jego serce zmięknie, jeśli poczuje ją przy sobie, więc podeszła do niego i próbowała się wtulić, jak zawsze, w jego pierś.

On jednak stał sztywny jak skała.

- Twierdzisz więc, że mnie zamkną - odezwała się tym swoim przerażająco spokojnym głosem. - Możliwe. Twoje rozumowanie jest logiczne, macie dowody, wszystko przemawia przeciwko mnie. Niezależnie jednak, co postanowi sąd, chcę, żebyś ty wiedział, że jestem niewinna. Mój jedyny błąd polegał na tym, że zaufałam kuzynowi.

Liczyła, że powie coś na te słowa, lecz Grant wciąż milczał.

-Grant?

Znowu milczenie.

Zrozumiała, że dotyka go po raz ostatni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiosna nadeszła w tym roku wyjątkowo późno. Juliet właściwie nawet tego nie zauważyła. Była zbyt zajęta układaniem sobie życia na nowo.

Ustawiając na półce swojego nowego sklepu wiktoriańskie bibeloty, rozmyślała o wydarzeniach ubiegłych trzech miesięcy. W pewien sposób czuła się szczęśliwa. Sąd orzekł, że jest niewinna i że nie była zamieszana w zbrodnicze zamiary swego kuzyna. Orzeczenie takie było zresztą zasługą Larry'ego, który zeznał, że Juliet nie znała jego planów. Szkoda tylko, że zrobił to w końcowej części procesu, gdy bulwarowa prasa zdążyła już napisać niejedną bzdurę na temat odwiecznych zatargów pomiędzy Lancasterami i Remingtonami i jej, Juliet, w nich udziału.

Opisano ją jako wyjątkowo podstępną kobietę, mściwielkę i zazdrośnicę, gotową na wszystko dla przejęcia choćby części ogromnej fortuny Remingtonów. Zła prasa zniszczyła jej reputację, kilkunastu klientów wypowiedziało stałe umowy, przestała otrzymywać kolejne zlecenia. Cóż, wizyty w cudzych domach i wycena zgromadzonych w nich kosztowności wymagają zaufania ze strony ich właścicieli. A ona właśnie straciła to zaufanie, przynajmniej w Baltimore.

Dlatego właśnie sprzedała swój dom, wyprowadziła się z miasta i otworzyła własny sklep z antykami na prowincji, w małym miasteczku w stanie Wirginia. Było to właściwie jedyne wyjście, choć i ono nie rozwiązało wszystkich problemów.

Jednego problemu zwłaszcza - wciąż tęskniła za Grantem Remingtonem, wiedząc zarazem, że utraciła go bezpowrotnie. Mimo wszystkich rozczarowań tamten niezwykły tydzień zakończony Dniem Zakochanych był dla niej najpiękniejszym okresem w jej życiu. Właściwie były to tylko chwile prawdziwego szczęścia, ale nawet te chwile dały jej tę bezcenną wiedzę, czym jest miłość, dały cudowne wspomnienia i wreszcie - dały dziecko.

Dziecko, które poczęło się tej właśnie jedynej nocy, kiedy kochała się z Grantem Remingtonem.

Gdy kilka tygodni później poczuła pierwsze mdłości, szybko domyśliła się, że jest w ciąży. Lekarz potwierdził te przypuszczenia, a wtedy ona postanowiła zrobić wszystko, by ułożyć sobie spokojne życie i zapewnić dobry dom swojemu dziecku. Wmawiała sobie, że sprawdzi się w roli samotnej matki. Czyż i ona nie wychowała się w domu pozbawionym ojca?

I dawała sobie jakoś radę, choć co jakiś czas nawiedzał ją burzący spokój ducha lęk. Jak się zachowa Grant, gdy dowie się, że ma potomka? Bo przecież prędzej czy później będzie musiał się dowiedzieć. Obiecała sobie, że już nigdy więcej go nie okłamie.

A więc jak się wtedy zachowa? Czy będzie chciał jej odebrać prawa rodzicielskie? A może wykreśli to dziecko ze swego życia, tak jak wykreślił ją samą? Może nie

będzie chciał go znać, a ono nawet nie będzie wiedziało, że ma ojca?

Ustawiła ostatni antyk na półce - mosiężny moździerz z tłuczkiem zdobionym kościaną główką - i cofnęła się o krok, by ocenić swoje dzieło. Chciała poprawić kompozycję, gdy usłyszała nagle dzwonek do drzwi. Po chwili za ladą stanęła sympatyczna para, on na oko koło sześćdziesiątki, ona trochę młodsza.

- W czym mogę pomóc? - zapytała z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Starsi państwo szybko wybrali ozdobną wstążkę, dokładnie taką, jaką zapamiętali z własnego dzieciństwa i jakiej szukali, a kiedy wyszli, do sklepu zawitała młoda kobieta, która odwiedzała Juliet regularnie, polując na atrakcyjne nowości. Pogawędziły przez kilka minut, jako że ta akurat klientka znała się na rzeczy i umiała docenić talent właścicielki do znajdowania w niepozornych miejscach prawdziwych skarbów. Gdy się pożegnały, Juliet postanowiła zajrzeć do magazynu z tyłu sklepu.

I wtedy znów zadzwonił dzwonek.

- Zaraz idę! - krzyknęła i wyjrzała, by powitać kolejnego klienta.

Kiedy zaś go ujrzała, ugięły się pod nią kolana.

Za ladą stał Grant Remington.

Juliet miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. Oparła się wydatnym brzuchem o ladę, by nie upaść.

- Grant? Nie jesteś tu przypadkiem, prawda?

- Nie. Poprosiłem Mike'a, żeby cię odnalazł.

A więc Grant jej szukał. Domyślił się wszystkiego.

Czy właśnie teraz oznajmi, że zamierza odebrać jej dziecko?

- Nie - wyszeptwała, obejmując dłońmi brzuch - tylko nie to...

- Rozumiem, nie chcesz ze mną rozmawiać. Nic dziwnego. Powiedziałem ci tyle nieprzyjemnych rzeczy.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc jeszcze, jakie naprawdę są jego intencje, on tymczasem oparł dłonie o kontuar, wbił wzrok w ziemię i zaczął mówić cichym głosem.

- Bez ciebie nie umiem już normalnie żyć, Juliet. Nie chcesz mnie słuchać, wiem, ale powiem to, bo nie mam nic do stracenia: przepraszam. Chcę prosić ciebie o wybaczenie. - Spojrzał na nią smutnym wzrokiem, niepewnie wyciągnął dłoń. - Przepraszam. Czy wybaczysz mi teraz? Dasz jeszcze jedną szansę?

Juliet zakręciło się w głowie ze szczęścia. Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewała się usłyszeć podobnych słów.

- Nigdy nie przestałam cię kochać.

- A więc... wybaczasz?

Skinęła jedynie głową, bo wzruszenie ścisnęło jej gardło. Grant obszedł ladę, porwał Juliet w ramiona i ucałował czule w czoło, a potem w usta.

- Juliet! Och, Juliet... Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim wciąż mnie kochasz. Myślałem, że kłamiesz. Bałem się tobie zaufać. Cholera, zabrakło mi wiary. Po-tem chciałem zapomnieć o wszystkim, ale ciebie zapomnieć nie mogłem. Byłem chory z tęsknoty, poszedłem nawet do psychoterapeuty...

- I wreszcie mogłeś się wygadać?

- Tak. Nigdy w całym swoim marnym życiu tyle się nie nagadałem. I im więcej opowiadałem o tych twoich kłamstwach, tym bardziej uświadamiałem sobie, że w gruncie rzeczy wcale w nie nie wierzę i sam przed sobą próbuję cię bronić. Bo to ty byłaś uczciwa, a ja cię zawiodłem. Nie chciałem wysłuchać, zrozumieć. Bardziej niż w ciebie, niż w miłość, wierzyłem w swoje uprzedzenia.

Juliet uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Teraz mi wierzysz?

- Tak. Wierzę też, że czas spędzony z tobą był najpiękniejszym okresem w moim życiu.

- I w moim.

- Wszystko trwało tak krótko i zdarzyło się tak szybko. Zakochałem się, choć nie chciałem wtedy dopuścić tej myśli do siebie. Zakochałem się w tobie, Juliet, ale bałem się tej miłości. Bałem się kochać, ufać, wierzyć... Chciałem zdusić w sobie to wszystko - i nic. Miłość jest silniejsza.

- Więc mnie kochasz?

- Wiesz przecież...

- W takim razie... W takim razie powinieneś wiedzieć... - jej głos załamał się nagle. Poczują, że ciało Granta sztywnieje, jakby spodziewał się usłyszeć z jej ust coś strasznego.

- Nie bój się, kochana...

- Tamtej nocy, kiedy się kochaliśmy... Tamtej nocy poczęliśmy dziecko, Grant. Ono jest we mnie, tutaj... - Drżąca dłoń przycisnęła jego rękę do okrągłego brzucha.

- Boże - szepnął. - Boże jedyny... I ja odprawiłem

cię w takim stanie. Samą. W ciąży. - Zamknął oczy i oparł głowę na jej ramieniu. - Juliet...

- Nie wiedziałaś, że jestem w ciąży - odparła łagodnie. - Ja też nie wiedziałam. A kiedy wszystko stało się jasne, bałam się ciebie powiadomić. Myślałam, że zechcesz mi je odebrać.

Podniósł twarz i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nigdy w życiu, słyszysz? Nigdy w życiu nie skrzywdziłbym cię w ten sposób, Juliet. Wystarczy to, co zrobiłem. Kocham ciebie i chcę tego dziecka, ale chcę by było ono nasze. Przyjechałem tutaj bez wielkich nadziei, ale uznałem, że muszę choćby spróbować wyznaczyć ci miłość i poprosić cię o rękę. Teraz zaś proszę o więcej: chcę być twoim mężem i ojcem tego dziecka. Zgadzasz się?

- Och, tak, Grant! Będziemy wspierać rodziną, zobaczysz!

Zakrzyknął radośnie i skoczył w górę jak mały chłopczyk, który po raz pierwszy trafił piłką do kosza.

- A teraz się nie ruszaj - poprosił, po czym pobiegł ku drzwiom, wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem „ZAMKNIĘTE” i podniósł z ziemi szarą torbę, która stała cały czas u jego stóp. - Zobacz - wyjął z torby niewielką szkatułkę, a z kieszeni wydobył klucz, który kiedyś mu dała - długo jej szukałem. W końcu znalazłem na strychu, pod stertą książek.

- Co jest w środku? - spytała z ciekawością.

- Nie wiem. Nie chciałem sam otwierać. Pomyślałem, że powinnaś to zrobić ty. - Położył na jej dłoni mały kluczyk w kształcie serca, a ona włożyła go do dziurki

i przekręciła. Kiedy puścił zamek, posłała Grantowi lekki uśmiech.

- Nie. Ty je otwórz.

- Więc zrobmy to razem - szepnęła, kładąc jej dłoń na wieczku.

Podnieśli je, a wtedy ich oczom ukazał się plik przewiązanych czerwoną wstążką listów. Na wierzchu leżała osobna kartka z jakąś notatką.

Juliet wyjęła listy. Koperty były zaadresowane do Anabel Lancaster, na odwrocie widniał adres Zebulona Remingtona, zaś notatka na kupce listów podpisana była przez Felicię Lancaster.

- Felicia Lancaster? To starsza siostra Anabel - wyjaśniła Juliet i szybko przeczytała notkę. - O, Boże...

- jęknęła. - Ona kradła wszystkie te listy! Sama się tutaj do tego przyznaje! Widzisz? - Podsunęła mu karteczkę.

- Była tak zazdrosna o Zebulona, że przechwytywała jego korespondencję do Anabel. A więc dlatego Zebulon i Anabel się rozstali! - Spojrzała na niego z wypiekami na policzkach. - Moja rodzina była przekonana, że Zebulon rzucił Anabel, a wcale tak nie było.

- A my byliśmy pewni, że to Anabel złamała serce Zebulonowi. Nikt nie miał racji. Rozdzieliła ich zazdrosna siostra. - Grant sięgnął po dłoń Juliet i mocno ją ścisnął. - Mało brakowało, a z nami byłoby podobnie.

Juliet podniosła wzrok i uśmiechnęła się promiennie.

- Ale ty nie dopuścisz do tego. Szukałeś mnie i znalazłeś. Wykazałeś się większą odwagą niż Zebulon.

- Miałem lepsze wsparcie.

- Jak to?

- Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy...?
- W walentynki! - przerwała mu ze śmiechem.
- Właśnie - pokiwał głową - na świętego Walentego nie ma mocnych.
- Święte słowa.

Grant przygarnął ją do siebie i objął tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Uwóżaj! - Ostoniła ręką brzuch.
- Och, zapomniałem...

Juliet roześmiała się radośnie.

- Cd cię tak rozśmieszyc? - zapytał.
- Właśnie sobie pomyślałam, że naprawdę jestem doskonałym rzeczoznawcą. Przyjechałam do twojego domu w poszukiwaniu ukrytego skarbu. - Staneła na palcach i splótła dłonie na szyi Granta. - No i znalazłam ten skarb. Ciebie.